Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Cena numeru pojedynczego 30 groszy.
Prenumerata krajowa kwartalnie 1·80 zł półrocznie 3·60 zł rocznie 6·— zł
Prenumerata zagran. kwartalnie 40 półr. 80 centów am.
Konto P. K. O.: Kraków Nr 406.000 Warszawa Nr 153.210

GAZETA LITERACKA

Dwutygodnik

Adres redakcji i administracji: Kraków ul. Zyblikiewicza L. 5/7, m. 55.
Godziny urzędowe codziennie od 1—3
Oddz. w Warszawie: ul. Sienna 23, m. 5. Telefon 46-98.
Oddz. w Katowicach: ul. Wodna 5, III. p.

Nr 17 | Warszawa — Kraków — Lwów — 1 października 1926 r. | Rok I.

O radykalizację teatru

Sprawa zmniejszania się frekwencji w teatrach i związanego z nią organicznie stałego diminuenda zainteresowań publiczności dla sztuki scenicznej — nietylko nie straciła na aktualności, ale — wprost przeciwnie — pojawiła się znów u progu nowego sezonu teatralnego — jak ponure, złowrogie widmo. Radziby je odżegnać od wrót swoich przybytków dyrektorzy scen polskich gniewnem, a rozpaczliwem: a kysz! z Mickiewiczowskich „Dziadów".

Nomen omen. Są tedy tacy, co w pauperyzacji społeczeństwa polskiego widzą główną przyczynę zła, są, którzy narzekają na jego zobojętnienie dla problemów kulturalnych, są, którzy jęczą: „Skończyły się dni Aranjuezu... Teatr upada, bo niema już wielkich, porywających tłumy swoją grą, aktorów.

Wszyscy mają rację... potrosze.

Publiczność zbiedniała, zgłupiała, zordynarniała — co do tego niema dwu zdań. Aktor zmienił się również. Kto wie... może przyczyną tego był wzrost jego powagi i wpływów na przestrzeni ostatnich paru dziesiątek lat istnienia wielkiej sceny polskiej. Może ta zmiana stosunku publiczności do aktora, to przedzierzgnięcie się stopniowe z komedjanta w półboga, rozleniwiło aktora, każąc mu zapominać niekiedy o tym najwyższym imperatywie teatru: o żmudnej, twórczej pracy. Ale lament nad brakiem genjuszów nie ma sensu. Dobrzy aktorzy są i teraz, tak, jak dawniej byli. Że niema Modrzejewskich, Żółkowskich i Rapackich — to jeszcze nie nieszczęście. W epoce romantyzmu mieliśmy aż „trzech wieszczów", teraz nie mamy ani jednego — i jakoś musimy to przeżyć. Toteż tego rodzaju narzekania są bezpłodne, tembardziej, że na scenie częstokroć — nawet z korzyścią dla całości widowiska — kollektyw, t. j. zgrany, dobrze zestawiony i wyreżyserowany zespół wyrównuje brak genjalnej jednostki. Pod tym względem teatr więcej od innych odłamów sztuki zasługuje na miano sztuki nowoczesnej, jako twórczość zbiorowa, ożywiona tchem uniwersalistycznego wysiłku.

Być może jednak, że nie w tem sęk, jakie są przyczyny obojętności społeczeństwa dla teatru, ale jak jej przeciwdziałać, jak radzić? Rada jest. Wprawdzie połowiczna, ale — mamy nadzieję — tem niemniej skuteczna. Chodzi tu o radykalizację teatru, czyli poprostu o rewizję jego wyświechtanych środków i zasobów artystycznych. Powie ktoś, że do rewizji, do reformy można przystąpić dopiero po opracowaniu wyczerpującego referatu; dopiero po uroczystej diagnozie, jaką jest choroba teatru i jakie jest na nią lekarstwo. Powie ktoś, że trzeba mieć plan wykończony w najdrobniejszych szczegółach, plan, zatwierdzony przez szereg powag w dziedzinie sztuki teatralnej. Że trzeba rozpisać ankietę do wszystkich dyrektorów, reżyserów, autorów i krytyków, pomysły ich i uwagi zebrać, i wycisnąć z nich esencję, jak sok z cytryny.

Prawda. I to byłoby dobre. Ale narazie to utopja.

Powie ktoś wreszcie, że zrobić to może tylko jakiś genjalny łeb twórczy, jakiś Ryszard Wagner sceny. I to słuszne. Ale jeżeli go niema, trzeba się zadowolić wysiłkami pomysłowych jednostek. Każdy dyrektor, każdy reżyser mógłby tu wiele zdziałać. Jeno postawić sobie za cel: uparty, nieustanny remont starych, zużytych już i zardzewiałych rekwizytów.

Nie jest to ani zachwalanie tanich efektów, ani apoteoza eksperymentu; nie chodzi tu o rewolucję, jeno o śmiałość. Dziś już na wstrzemięźliwości, na lękliwości przewrócić się coraz łatwiej. Publiczność obrusza się na nowość, publiczność zżyma się na eksperyment, publiczność krzyczy — ale koniec końców publiczności się to podoba. Jej przysłowiowy konserwatyzm jest złudzeniem. Trzeba ją ekscytować, dźgać, wstrząsać i to nie brutalnym dziwolągiem „pour épater les bourgeois", ale radykalizacją celową i przemyślaną. Stare, szablonowe piły nużą i nudzą. Nowość przynęca. Przykładem tego „Reduta", przykładem teatr im. Bogusławskiego, przykładem zmiany w psychice publiczności warszawskiej, wywołane eksperymentami niektórych reżyserów.

Wieleby tu pomogło wprowadzenie na scenę sztuk przesyconych treścią dnia dzisiejszego, uspołecznienie i aktualizacja teatru (artykuł prof. Sinki w 1 numerze „Gazety Literackiej"). Ale to jeszcze nie wszystko. Społeczeństwa nurtują dziś przecież nietylko krótkotrwałe, dziennikarskie aktualności, o których dzień jutrzejszy już zapomina, ale elektryzują je również wielkie hasła, wielkie ideje, wielkie problemy socjalne i cywilizacyjne. Teatrowi trzeba sztuk, w którychby widz współczesny znalazł potwierdzenie gorączkujących go myśli, syntezę zagadnień olbrzymiej doniosłości, płynących ku niemu na fali rozmów, książek i dzienników.

Sztuki takie musi ktoś napisać. Zachód ma takie sztuki, ale samo wsysanie obcych soków nie wystarcza. To musi być twórczość rodzima. Teatr woła o nią, domaga się jej, dziwi się, że jej niema — zapewne w instynktownem przeczuciu, że tylko młoda sztuka, zrodzona we współczesności i współczesnością tą bezwiednie przesycona, może mu podać ten ostro przyprawiony pokarm.

Ale teatr sam sobie winien. Teatr nie dawał dotąd w tym kierunku absolutnie żadnej inicjatywy. Niema on kontaktu z literaturą młodą, która przecież dziś tylko jest młoda, a jutro już będzie dojrzała i krzepka (zwyczajną rzeczy koleją). Za czasów Wyspiańskiego i Młodej Polski, za dyrekcji Pawlikowskiego czy Kotarbińskiego, poeci nie wychodzili poprostu z za kulis. W ustawicznem obcowaniu z aktorami, w rozmowach i dysputach z reżyserem, w konferencjach z dekoratorem, w upartej włóczędze po zakamarkach sceny — autorzy nasiąkali atmosferą teatru, uczyli się jego „wiedzy tajemnej", podsłuchiwali jego sekrety. Podniecona wyobraźnia pracowała twórczo. Rodziły się gigantyczne pomysły. Była wymiana myśli. Aktor dowiadywał się wielu ciekawych rzeczy o autorze, wnikał w jego intencje, czuł go. Wytwarzała się platforma wspólnego porozumienia. Teatr dygotał, żył, huczał sztuką...

A dziś? Mur chiński i „ryglem wrota zwarte". „Żelaznych wrót żelazna moc". Nieufność młodych, wzgardliwa wyższość teatralnych kancelaryj i gabinetów. Nie idzie się za kulisy, aby się nie czuć intruzem i nie wystawać po przedpokojach i korytarzach.

Jakieś zbliżenie, jakieś konwentykle teatralno-literackie, jakieś wspólne wystąpienia — byłyby tu z pewnością potężną dźwignią dla przywrócenia dawnego stanu rzeczy. Nie dałyby może drugiego Wyspiańskiego, ale wychowałyby bez wątpienia nowych zdolnych twórców.

A zatem — inicjatywa. Ale inicjatywa taka należy — według ogólnie przyjętych form towarzyskich — do gospodarza, do teatru...

Marsyljanka braterstwa

Nie chińskie mury, nie koszule pancerne, naszpikowane kolcami bagnetów, nie przepaście narodowych szowinizmów. —

Lecz na granicach triumfalne bramy z napisem: „Witajcie!"

Pomosty przez oceany, miljard prawic do braterskiego uścisku.

Chłopcy z Paryża i Berlina, chłopcy z Belgradu i Sofji, wstydźcie się, pocóż te kose, złowrogie spojrzenia?

O cóż tu się spierać do stu łysych djabłów!

Patrzcie, jak rzeźko świeci słońce, jak słodko uśmiechają się do was dziewczęta.

Pod ręce wszyscy, kwiaty przypnijcie do serc i do czapek, a maszerując w takt Marsyljanki, krzyczcie co tchu:

— Fraternité!..

Głupcami byliśmy dotąd i śmiał się z nas do rozpuku dobry Bóg w niebie.

Stu językami szwargotaliśmy, jak opętani, i skakaliśmy sobie z pazurami do oczu. Jak banda warjatów opluwaliśmy się nawzajem, wypuszczaliśmy na siebie gazy trujące, obrzucaliśmy się wybuchającemi przedmiotami i tratowaliśmy się końmi.

Sacrebleu! Już chyba dość tej maskarady!

Wszyscy jesteśmy braćmi i ziemia jest naszą ojczyzną. Bądźmy jej szowinistami, kochajmy się, piszmy o niej wiersze — to nam wolno.

Prawda dziewczynki, że tak będzie najlepiej? Odwiedzimy was w Neapolu i w San Francisco. Będziemy pili dobre wino i całowali wasze usta.

Koledzy faszyści, jesteście kiepskimi bzikami. Czarne, czy pstre koszulki, wszystko to jedno.

Koledzy, „bolszewicy", puśćcie kantem tę skrachowaną awanturę. I tak nas wszystkich śmierć rozstrzela w swojej tradycyjnej czerezwyczajce.

Anglicy z Manchesteru i z Plymouth! Po kiego licha włazić na pięty braciom z Indyj i z Szanghaju... Pomyślcie lepiej o tych czarnych węglarzach z waszych kopalni.

Nie chcemy Pan-Europy, jeżeli obok niej ma powstać Pan-Ameryka i Pan-Azja. Źle było, gdy się pożerały narody, ale kontynenty mają jeszcze większe brzuchy.

Pozszywajmy wszystkie narodowe sztandary. Będzie z nich cudny sztandar wszechludzkości, tęczowy, jak łuk zgody nad odmętami potopu.

Zedrzyjmy ze ścian szkolnych mapy krajów. Uczmy się geografji ojczystej na globusach.

Ziemio, ojczyzno nasza, jakżeś olbrzymia, jakżeś urodziwa, jakżeś cudownie okrągła. Ziemio, ojczyzno nasza, granicami twojemi niebiosa. Ojczyzno nasza, masz sto stolic, ale my kochamy największą stolicę — promieniste słońce! Dobrze nam w cieniu twych gór, na falach twoich wód i na pachnących murawach...

A zatem, ministrowie spraw zagranicznych, podajcie się do dymisji! Niema już zagranicy.

Urzędnicy celni, zróbcie konfetti z waszych dokumentów. Nie chcemy ceł ani na towar, ani na kulturę.

Marynarze, nauczcie nas prawdy o morzach, nad któremi jedne są gwiazdy i jedno wspólne, upajające powietrze.

Lotnicy, nauczcie nas prawdy o swobodzie, która nie zna granicznych słupów i okiełzań.

Nie trzeba strzelać do Druzów. Oni są naszymi dobrymi kolegami. Nie trzeba strzelać do Chińczyków. Chrystus zakazał...

Generale Czang-so-lin! Panie marszałku Wu-pei-fu! Niema sensu biegać tam i z powrotem od Jangtsekiangu do Pekinu. Zamiast bić się, idźcie lepiej młócić ziarno cepami w stodole.

Żołnierze wszystkich krajów tańczcie shimmy. To będzie korzystniejsze dla ludzkości. Polityka agrarna waszych wodzów dziś już nie ma celu. Na co nam waszych trupów, mamy przecież nawozy sztuczne. Na co nam krwi waszej, przecież wystarczy deszcz z nieba. Dość już użyźniliście ziemię pod Wiek Pojednania.

A teraz zakasać rękawy i do pracy. — Wszyscy razem, wszyscy w szeregu, wszyscy na budowie.

Ta druga wieża Babel uda nam się lepiej...

— Fraternité! Fraternité! Fraternité!..

Bronisław Borkowski.

Gryt Hergsen

Gryt Hergsen napisał powieść.

Była twarda i niezłomna, jak ruda żelazna, wydobywana przez Gryt Hergsena z podziemnych czeluści kopalń. Zgrzytała, jak żelazo, gniecione i rznięte w olbrzymich halach fabryk, gdzie stał Gryt Hergsen wśród straszliwego ryku miażdżących maszyn, świszczących kół i transmisyj, — jęczała, jak to żelazo, kradzione matce ziemi przez człowieka. Była brutalna, jak brutalnem jest prawo życia dla robotnika. Była potworna w swej prawdzie, jak potwornem było życie Gryt Hergsena wśród nędzy, brudu, kłamstwa i zwierzęcych instynktów, czarnych środowisk robotniczych. Była ta powieść bólem, jak bólem jest dno hańby ludzkiej.

I Gryt Hergsen wydał swą powieść.

Powiedział w niej tylko prawdę ludziom; nic więcej. Ale ta prawda jego była głuchym jękiem gnębionego zwierza-człowieka.

I nie zapomniał wskazać w niej światu drogi, która z ludzkiego piekła wiodła we wyzwolenie.

Powieść rozchwytano poprostu. Jeden nakład prześcigał drugi. Tłómaczono ją na wiele, wiele języków. Krytyka musiała ją przyjąć, a nawet wyrazić się o jej młodym autorze bardzo pochlebnie. I słusznie; przecież powieść jego była prawdą!

Gryt Hergsen wydał więc swoją powieść i czekał. Wsłuchiwał się w zgiełk świata; z dnia na dzień oczekiwał odpowiedzi. Rzucił swą pracę w fabryce — i z nikim nawet nie rozmawiał. Czekał i czekał...

Nareszcie, nie dosłuchawszy się niczego, wrócił do pracy.

— Dziwak! — mówili o nim ludzie.

— Psychopata — szeptano sobie na ucho w sferach literackich. — Taki talent, taka powieść, a człowiek do niczego.

Literaci cieszyli się może, że się pozbyli konkurenta.

Gryt Hergsen nie dał żadnych wyjaśnień, dlaczego porzucił pióro i wrócił do fabrycznego warsztatu. Pracował w jarzmie swem dalej, a robotnicy dziwili się, widząc go znowu pomiędzy sobą. Gdy go pytali, dlaczego nie pisze już — odpowiedział:

— My jesteśmy brudni ludzie i wiedziemy brudne życie. Świat, tam u góry, napozór czysty jest — lecz nie zazdrośćmy mu dusz...

Oczywiście koledzy nie zrozumieli go, ale Gryt Hergsen nie mówił już nic więcej.

— — — — — — — — — —

W kilka lat po wydaniu swej powieści uległ Gryt Hergsen nieszczęśliwemu wypadkowi. Rozżarzony pręt żelazny, przechodzący przez walec, przy którym stał Gryt, pękł, i wijąc się, jak żmija, uderzył Gryt Hergsena w lewe ramię...

— — — — — — — — — —

Gryt Hergsen stał się roznosicielem gazet...

Ale w rok po utraceniu lewej ręki wydał drugą powieść.

Przypomniano go sobie i stał się sławniejszym jeszcze, niż poprzednio. Umieszczano wszędzie jego portrety, liczne kluby literackie zapraszały go na członka, parlament przekazał mu, jako dar narodowy, wysoką sumę i majątek ziemski — — lecz Gryt Hergsen zacisnął zęby i milczał. Niczego nie przyjął, porzucił miejsce pobytu, by go nie prześladowali ludzie natrętni — i czekał — i słuchał.

Lecz tym razem cierpliwość jego minęła prędko. Za pieniądze, otrzymane od wydawcy, kazał wydrukować potajemnie we wszystkich językach europejskich ogromne afisze — i udał się z niemi w podróż okrężną po Europie.

Pewnego dnia na wszystkich ulicach wszystkich stolic czytano, co następuje:

— Do burżuazji! Do literatów! Do świata!

Napisałem powieści, które były krzykiem ludzkiego pohańbienia! Czytaliście je i widzieliście drogę, jaką wam wskazałem. Czekałem na odpowiedź, któraby była wyzwoleniem proletarjatu i was samych z otchłani grzechu. Czytaliście me książki — — i życie zostało nadal tym grzechem. Ale książki takie pisali przecież i inni. Literaci! Pocóż piszecie — pocóż mówicie?! Wysiłki wasze nadaremne. Dlaczego słowa moje i wasze nie obudziły sumień ludzkich?! Lecz wiedzcie — niebawem wybije godzina wyzwolenia.

Gryt Hergsen.

Gryt Hergsen znikł.

Szukano go długo — lecz nikt go nie widział w Europie. Nie znaleziono go... Przypuszczano, że pewnie dostał pomieszania zmysłów i skończył samobójstwem. Nie wzięto jego słów na serjo...

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Gdy wybuchła europejska rewolucja — Gryt Hergsen stał na jej czele.

Stefan Majchrzak.

Nr 17 „Gazety Literackiej"

zawiera:

O radykalizację teatru — artykuł wstępny.
Gryt Hergsen — *Stefan Majchrzak.*
Marsyljanka braterstwa — *Bronisław Borkowski.*
Praca społeczna artysty — *P. A.*
Miłość Zanny Ney — *J. Pański.*
Wywiad z Franciszkiem Mauriac — *Artur Prędski.*
Tragedja duszy słowiańskiej — *Witold Zechenter.*
Z teatru — *Janusz Stępowski.*
„Dobranoc!" przeszłości — *Dr Juljusz Feldhorn.*
Trallalala, tralala! — Zabłąkany w epoce. Młoda dwójka autorska — recenzje.
Wiersze i przekłady — *Jerzego Brauna* i *Edwarda Wyłomowskiego.*
Jasnowidzący wynalazek — nowela — *Janusz Stępowski.*
Wesołe lecz smutne.
Pozatem obfite działy informacyjne i aktualne, kronika i t. p.

OD WYDAWNICTWA

PROSIMY O SPIESZNE ODNOWIENIE PRENUMERATY NA TRZECI KWARTAŁ B. R.

Prenumerata kwartalna 1·80
„ półroczna 3·60
a roczna tylko 6 zł.

Wpłacać można blankietem nadawczym „GAZETY LITERACKIEJ" z wydrukowanym numerem konta, albo też zapomocą blankietu nadawczego bez nadruku, który otrzymać można w każdym urzędzie pocztowym i na którym należy napisać numer konta 406.000 i nazwę: „GAZETA LITERACKA".

Dwie wystawy

W niedzielę, dnia 26 września b. r., otwarto w krakowskim Pałacu Sztuk Pięknych, Wystawę Prac Uczniów Państw. Szkoły Przemysłu Artystycznego w Krakowie. Obecna wystawa potwierdza tę wysoką opinję, jaką zdobyła sobie metoda nauczania i wyniki pracy szkoły. Odkładając dla braku miejsca do następnego numeru, (bo druk niniejszego ukończono już w przeddzień wystawy), dokładniejsze omówienie działalności szkoły oraz obecnej wystawy, zauważamy już teraz, że z szeregu prac o poziomie z natury rzeczy szkolnym — gdyż wystawa obejmuje prace uczniów wszystkich kursów — wybijają się indywidualności nader interesujące, że wymienimy przykładowo klasę malarstwa dekoracyjnego. Prace Walczowskiego i Rożańskiego posiadają swoją zdecydowaną fizjognomję artystyczną. W twórczości Rożańskiego zaciekawiają nas zwłaszcza projekty architektoniczne i doskonały szkic do fresku (trzej górale). Rożański zdaniem naszem powinien zwrócić się poważnie ku zagadnieniom dekoracji teatralnej, do którego to dzieła sztuki talent jego zdaje się być szczególnie predestynowanym. Na tym samym kursie interesujące prace Birtusówney, Hablińskiej i Krzyżanowskiej. Silnie zarysowujące się indywidualności znajdują się i na innych kursach — o czem w następnym numerze.

W tymsamym dniu otwarto Wystawę Opraw zakładu introligatorskiego Roberta Jahody z lat 1925-26. Wystawa robi naogół bardzo dodatnie wrażenie. Niestety jednak stwierdzić należy, że dział ten — który mógłby być sztuką — jest do dziś dnia tylko rzemiosłem. Dlaczego? Postaramy się odpowiedzieć na to pytanie i sprawę tę poruszymy obszerniej w następnym numerze.

Dwa napisy

Na pomniku poległych w berlińskim uniwersytecie położono napis: »Invictis victi victuri!« (Niezwyciężonym zwyciężeni przyszli zwycięscy). —

Francuzi na podobnym pomniku napisali: »Peuples, soyez unis; hommes soyez humains« (Ludy jednoczcie się; ludzie stańcie się ludzcy).

Miłość Zanny Ney

»Miłość Zanny Ney« Erenburga jest książką wielce charakterystyczną dla tego autora — nie z racji swej wartości, lecz dlatego, iż występują w niej szczególnie jaskrawie wszystkie te wady, które tkwią i w innych jego utworach.

Powieść ta — to historja córki francuskiego szpiega przeciwbolszewickiego w sztabie Wrangla, która pokochała Andrzeja Łobowa, komunistę — romantyka. Ten Łobow jest także szpiegiem z ramienia Sowietów; i wykradając pewnego razu z mieszkania Neya tajne dokumenty, przyłapany przez niego, zabija go. Zanna widzi tę scenę — i wie, że Andrzej jest dla niej stracony. Osamotniona, jedzie do Paryża, do swego wuja, który jest także szpiegiem, tylko prywatnym, i który maltretuje swą bratanicę, jak również i niewidomą córkę, w sposób zaiste zwierzęcy. Andrzej też w »misji sekretnej« znajduje się w Paryżu; spotykają się — i miłość pokonywuje tę przepaść, jaka się między nimi uczyniła. Zanna musi zapomnieć o tem, że Andrzej jest zabójcą jej ojca — i idzie z nim na noc do brudnego podmiejskiego hoteliku. Ale Łobow w sprawach partyjnych udaje się do Tulonu, a ścigany przez policję francuską, nie może narażać Zanny. Powrót do zwyrodniałego wuja jest również niemożliwy; więc Zanna jedzie do Moskwy, gdzie może się nią zaopiekować jeden z przyjaciół Andrzeja. Tymczasem owej nocy, którą kochankowie spędzili w hotelu, popełniono morderstwo: emigrant rosyjski i szubrawiec Chałybjew zabija wuja Zanny, podrzucając na miejscu zbrodni skradzione przypadkiem papiery Andrzeja. I w drodze do Tulonu aresztuje Andrzeja policja. Cały szereg okoliczności świadczy przeciwko niemu; jedynem wyjściem byłoby ustalenie alibi i sprowadzenie Zanny; ale Andrzej nie może jej kompromitować i boi się ją wmieszać do procesu — i milczeniem skazuje się na śmierć. Daremnie Zanna, zaniepokojona brakiem listów, nie mająca zresztą nic w Rosji do roboty, wraca z kilkugodzinnem opóźnieniem do Paryża; daremnie w Berlinie, dowiedziawszy się o sprawie Andrzeja, odnajduje Chałybjewa, który jedyny widział Andrzeja, dokonawszy zbrodni, w swym hotelu; Chałybjew może poświadczyć wobec sądu alibi Łobowa, ale domaga się za to spędzenia nocy z Zanną. I Zanna oddaje się Chałybjewowi, który oczywiście ulatnia się natychmiast po uzyskaniu zapłaty. Andrzej umiera, nie zdradziwszy imienia Zanny. A Zanna po długiej chorobie, pielęgnowana przez paryskich przyjaciół Andrzeja, powraca do zdrowia, by się odrodzić do nowego życia; miłość dla Andrzeja jest teraz miłością dla sprawy Andrzeja — i Zanna niesie swą nową miłość do Rosji, przebaczając nawet Chałybjewowi.

Cały ten melodramat, który ma być anatemą, rzuconą zgniłej Europie i apologją nowej, głębszej i szlachetniejszej miłości, jest mocno nieprzekonywujący pomimo dobrych chęci autora i najlepszych chęci czytelnika. Już sam wybór środowiska jest zastanawiający i nieco niezrozumiały, a w każdym razie nieostrożny: mimo całego idealizmu Andrzeja i cynizmu obu Ney'ów jakoś nieskorzy jesteśmy uwierzyć, by istniała tak wielka różnica etyczna między takim czy innym szpiegiem, wywiadowcą czy detektywem. I mimo różowych barw, których nie szczędzi Erenburg, by nam Andrzeja umilić — zachowujemy jednak zawsze wobec niego troszeczkę rezerwy, tembardziej, że i z zabójstwem ojca Zanny nie wszystko jest w porządku. I znów wmawianie nam, iż mord »dla idei« jest czemś wyższem etycznie, niż mord zwykły, jest grubą i w gruncie rzeczy, drobnomieszczańską frazeologją, ostrze której zwróci się przeciw samemu Erenburgowi: wszak i patrjotyzm, wybujały do rozmiarów szowinizmu, jest ideą, tak samo dobrą, jak i komunizm, jeśli chodzi o sankcjonowanie mordów politycznych. Pomijam już fakt, iż zabójstwo Neya ma bardzo słabe pozory ideowości. Można twierdzić, iż coś jest politycznie koniecznem; ale nie należy stąd wnioskować, że to coś jest etycznie słusznem. Tak objawiona »nowa miłość« zupełnie do nas nie przemawia.

Pozatem, cała ta »zgniła« Europa jest również mocno uproszczona. Pokazanie kilku szpicli i zrutynizowanych sądowników — doprawdy to jeszcze nie wystarcza. Jest to już stanowczo zbyt daleko idące upraszczanie sobie zadania: nie można brać ubocznych produktów cywilizacji za samą cywilizację. To, że Andrzej nie może znaleść ani jednego człowieka, któryby bronił jego słusznej sprawy — to doprawdy nie jest wina Francji, lecz Andrzeja. I tu jest może najgrubszy szew całej tej roboty. Kto jest winien śmierci Andrzeja? Oczywiście — burżuazja, odpowie Erenburg. Ale my znów, mimo całej sympatji dla Andrzeja, musimy jednak powiedzieć, że żaden sąd i żadne społeczeństwo nie może uniewinnić człowieka, który robi wszystko, by właśnie sąd upewnić w podejrzeniu. Andrzej — powiada Erenburg — nie może mówić prawdy, gdyż skompromitowałby Zannę. Ależ, na Boga, gdzież jest jaskrawy i burżuazyjny przesąd, jak ta obawa »kompromitacji« kobiety, którą się przecie wobec swego sumienia uważa za żonę, której pozycja towarzyska jest idealnie obojętna, która nawet wobec francuskiego sądu przysięgłych jest żoną Andrzeja?! Tych przesądów wyzbył się już nietylko proletarjat rosyjski; i doprawdy Andrzej przypomina raczej romantycznego rycerza, niż ideowego komunistę.

Erenburg chce dowieść, że tylko zgnilizna moralna społeczeństwa francuskiego prowadzi Andrzeja pod nóż gilotyny. W tym celu wyciąga się cały arsenał okropności — jakże nam dobrze znany! — i upiększa nim wszystkich »reprezentantów« burżuazyjnego świata. Obraz, tą drogą otrzymany, ma całkiem specyficzny koloryt: tak w wyobraźniach wychowanic klasztornych, spalających się w ogniu własnych niezaspokojonych, a tem bujniej kwitnących namiętności, wyglądać muszą wszystkie zakazane uciechy tego świata; tak mały chłopiec, naczytawszy się »Jack Texasów«, wyobraża sobie, iż w całej Ameryce niema innych ludzi, prócz Indjan i Cow-boyów. Ale i tu się Erenburg pomylił — i to nietylko w tej przesadzie, która jest najistotniejszą cechą jego twórczości, lecz i w samej istocie: ci wszyscy sutenerzy i sadyści, rzezimieszki i alfonsy — to nie francuzi: to z krwi i kości rosjanie, to w prostej linji wnukowie Dostojewskiego. Ta przesadna charakterystyka osób, to ciągłe brutalizowanie efektów, te wszystkie »dziewczynki«, z któremi wstają rano, kładą się spać wieczorem owi francuzi — ten język, którym się oni wszyscy posługują — język nawskroś rosyjski, znów obciążony całym balastem Dostojewszczyzny (via Arcybaszew) — cały ten sos sprawia, iż czytelnik ani na chwilę nie wierzy, by miał do czynienia z francuzami.

W rezultacie przeciwstawienie »dwóch światów« w książce Erenburga, a z niem i cała ideologja autora, są rażąco nieumotywowane. Pomijając wszelkie względy rzeczowe, ci reprezentanci burżuazji przestają być dla nas ciekawi, skoro właściwie nie biorą udziału w losach bohatera. Losy swego życia, losy swej miłości zawdzięcza Andrzej doprawdy tylko swej głupocie.

Cały ten bezsensowny system obrony sądowej, ów niezwykle naiwny pomysł wysłania Zanny do Moskwy — jakgdyby Andrzej nie miał żadnych przyjaciół w Paryżu (a ma!), którymby mógł ją powierzyć; ta idylliczna umowa, że będzie do niej »pisał« — dobra na przestrzeni Warszawa-Milanówek, i to z ryzykiem, lecz nie na linję Paryż-Moskwa — wszystko to są oczywiste dowody wyjątkowej tępoty Andrzeja. A równie tępą i naiwną okazaje się Zanna, akceptująca te wszystkie pomysły, nie umiejąca palcem kiwnąć w swojej obronie, chorobliwie niezaradna i bezczynna we wszystkich momentach swego życia — ale beznadziejnie aktywna w momencie, gdy trzeba zgodzić się na zapłatę »zgóry« Chałybjewowi, o którym przecie każdy dureń wie, że ucieknie. Czy i za to także trzeba winić zgniłą Europę? I ten beznadziejnie banalny, oklepany, wyciśnięty Chałybjew, w którym rzeczywiście niema nic indywidualnego, prócz dziedzicznych obciążeń literackich, aż do owego »tragizmu duszy rosyjskiej« włącznie!

Gdyby przełożyć utwór Erenburga na scenę, okazałaby się rzecz ciekawa: wszystkie role męskie, nie wyłączając bodaj i samego bohatera, musieliby grać aktorzy charakterystyczni. Każda z występujących tu figur obwieszona jest ze wszystkich stron »charakterystycznemi« upiększeniami, i dopiero bliższe wejrzenie uświadamia, że tam nic prócz tych upiększeń niema. To też jeden ze stałych »tricków« Erenburga: ta pozornie wnikliwa psychologja jest w gruncie rzeczy, tylko uchylaniem się od konieczności racjonalnego zmontowania postaci. W rezultacie — zamiast charakterów otrzymuje się odruchy. Jedna tylko Agłaja, ex-żona Andrzeja, jest istotnie postawioną mocno i bardzo ciekawą figurą; reszta — to reagujące odruchami marjonetki.

To samo zresztą »wykręcanie się sianem« cechuje i samą konstrukcję utworu. Wszystkie filmowe nieprawdopodobieństwa, tolerowane w brukowej literaturze, są poprostu niesmaczne w książce, mającej pretensje ideologiczne. Żadna sytuacja nie jest postawiona tak, by czytelnik miał przekonanie o k o n i e c z n o ś c i takich właśnie jej następstw, jakie Erenburg wyprowadza; przeciwnie, raz za razem bohaterowie powieści wybierają takie drogi i sposoby, które właśnie w danej sytuacji są najgłupsze, najmniej oczekiwane, niczem nie umotywowane. Co gorsza, samo przeprowadzenie wytworzonych już sytuacyj jest często zaledwie markowane. Bardzo jest, zaiste, łatwo nakazać bohaterom, by wzruszenie odbierało im mowę; ależ niepodobna tego eksperymentu powtarzać raz za razem! Andrzej i Zanna kochają się na przestrzeni 300 stron, ale nie mówią do siebie przez cały ten czas l i t e r a l n i e a n i s ł o w a! Albo są tak zakochani, że nic mówić nie mogą — albo tak zespoleni ze sobą, że nic mówić nie potrzebują. Gdybyż przynajmniej mówiła za nich książka! Nie — to tylko ględzi jej autor i raczy nas taką, n. p. wzniosłą poezją: »Siedzieli na ławce i mówili sobie najpiękniejsze słowa w języku ludzkim: — Andrzej... — Zanna...« To już jest wyraźna mistyfikacja. Ogród Luxemburski, ten sam, w którym tak cudownie mówili ze sobą — chociaż się bardzo kochali — Ryś Nienaski i Xenia Granowska — jest i tutaj miejscem spotkania kochanków po długiej rozłące. Śpiewają drozdy, kwitną kasztany, bawią się dzieci — ale książka milczy uporczywie. I to właśnie książka o miłości! Ta tendencja do zablagowania czytelnika, do spreparowania takiego namiastku, by się czytelnik nie spostrzegł, że go nakarmiono dziurką z obwarzanka — to także bardzo istotna cecha twórczości Erenburga. Ale wszystko to jest dość tanie efekciarstwo, jak ów »bóg« pisany małą literą, chociaż Bóg jest w najgorszym razie przynajmniej imieniem własnem, jak Aryman, Budda, albo Eljasz.

Jest w tej książce jeszcze jedna postać, drugoplanowa wprawdzie w akcji, lecz w tendencji dość ważna: to Jules Lebeau, stary pisarz — komunista. Ma to być — dość banalnie i powierzchownie zarysowany — Anatol France. To, że France był raczej schyłkowcem burżuazji, niż pisarzem proletarjatu — to pogląd słuszny, chociaż całkiem nie nowy. Ale Erenburg ma inną do France'a pretensję: oto, że nigdy nie kochał i dlatego nie umie pisać o miłości. Otóż France'owi, autorowi »Tais«, »Czerwonej Lilji«, »Sylwestra Bonnard«, »Wiosny Życia« — pogląd ten zapewne nie zaszkodzi, ale jest on niezmiernie charakterystyczny dla samego Erenburga: toż to on właśnie jest apostołem miłości — w książce, w której tak mało miłości znaleść można! Prawda to, że France stanął po lewicy nie przez wspólną z nią miłość, lecz przez wspólną nienawiść; ale przynajmniej miał odwagę do tego się przyznać! A to jest właśnie największa, beznadziejna luka w twórczości Erenburga: to, że jego linja ideologiczna nie jest szczera, że jest tylko przybraną pozą i przykrótką kołdrą, z pod której raz w raz nieskromnie wyziera typowe drobnomieszczaństwo; ta podszewka, która wyłazi z Łobowa — to przecież podszewka samego Erenburga: to on jest drobnomieszczaninem z całym swoim humanitarnym liberalizmem, z ckliwie — sentymentalną miłością, z nieźle zakonserwowaną nienawiścią narodową, z całą furą cynizmu — z typowym światopoglądem nie proletarjusza, lecz biednego, zazdrosnego, nie mogącego się »zabawić« burżuja. I właśnie dlatego ta książka nie przekona nikogo: nietylko wrogów komunizmu, ale — i przedewszystkiem — jego przyjaciół. Bo można pisać »bóg« małą literą — ale jakiegoś boga w duszy mieć trzeba. A Erenburg — apostoł miłości bez miłości we własnem sercu — takiego boga nie ma.

J. Pański.

Praca społeczna artysty

Od czasów Kanta zgadzają się wszyscy, że sztuka jest uniwersalną, że wyklucza czysto indywidualne przywłaszczenia, a wartości jej należą do wszystkich, którzy ją odczuwają.

Wartości estetyczne, zdobyte przez artystę, przyswaja sobie społeczeństwo bez jakichkolwiek ograniczeń. Artysta jest odkrywcą nowych lądów, które w posiadanie obejmuje publiczność. Sam hojnie, po królewsku, rozdaje skarby Sezamu. Każdy może czerpać ze skarbca jego twórczości pełnemi garściami. To niemal nic nie kosztuje, a przecież gdyby wielbiciele sztuki, gdyby widzowie w teatrze czy kinie policzyli piękne z łaski artysty przeżyte chwile, i gdyby chcieli je opłacić, nie starczyłoby złota całego świata.

Artysta bez miary i wagi rozdziela skarby hojną garścią, bo takie jest prawo jego życia. On jeden naprawdę pracuje dla całego społeczeństwa. Sztuka jest najwyżej wykształconem społecznem świadczeniem, a działalność artysty jest najmniej ze wszystkich funkcyj społecznych egoistyczną. Jeśli nawet zmieni się dzisiejszy ustrój, to między każdą pracą jednostki dla społeczeństwa, a własną korzyścią, zachodzić będzie w najlepszym razie równowaga, natomiast praca artysty będzie mieć zawsze ogromną wartość społeczną przy znikomo małej wartości osobistych korzyści.

Praca dla społeczeństwa jest naturalnem prawem sztuki, co więcej — jest jej oddechem. Sztuka tem szerzej oddecha, im bardziej jest społeczną. Nie znaczy to bynajmiej, ażeby przeznaczeniem artysty była orka na polu problemów socjologicznych. W normalnych warunkach artysta spełnia swe zadanie społeczne jedynie przez tworzenie coraz nowszych wartości estetycznych, które stają się własnością całego społeczeństwa. Naturalnie, że te zdobycze estetyczne muszą być upragnionym chlebem, a nie zbytecznym smakołykiem.

Że dzisiaj sztuka balansuje między problemami socjologicznemi a estetycznemi, to z pewnością jest jedną z anomalij społecznych. W naszych warunkach na ugorze, zachwaszczonym konserwatyzmem i ciemnotą, poszukiwacz złota musi być wpierw kosiarzem ostów.

Trzeba jednak podkreślić, że nie naszem zadaniem powinna być walka o egzystencję kultury!

Również nie naszą jest winą, że musimy nietylko budować, ale i walczyć o możność swobodnego i twórczego budowania.

Jeżeli moment społecznictwa wyłączymy, jako przypadkowy, z pracy społecznej artysty, to pracę tę stanowić będą zadania poniżej rozważone.

Pierwszym obowiązkiem współczesnego artysty jest propaganda poezji cywilizacji i piękna postępu. Powinien uczyć miłości i czci dla wiedzy, jako dla sumy bezcennych wysiłków całego rodzaju ludzkiego. Abstrakcyjne pojęcia nauki, wartości bezbarwne, niewidzialne dla oka ogółu, przemieniają się przepuszczone przez pryzmat fantazji artysty w tęczowe i konkretne obrazy intellektualnej potęgi człowieka. Dla artysty nawet przypuszczenia w dziedzinie nauki mogą być czarodziejskiemi formułkami, przy pomocy których stwarza on w swojej fantazji rzeczy, których realizacja do najdalszej przyszłości należy. Zarówno fantastyka w rodzaju Verne'go, oparta na wiedzy, jak i utwór, opiewający piękność radja czy samolotu, służą dodatnio propagandzie poezji cywilizacji. Ale łącznie z tą propagandą powinna iść współmierna ocena kurczącej się coraz bardziej przestrzeni, która ludzi do siebie zbliża. Cześć i uwielbienie dla cywilizacji nie powinny jedynie kierować się ku przedmiotom wytworzonym — ale w pierwszym rzędzie ku twórczemu podmiotowi, ku twórczej pracy. Wzbudzanie szacunku dla tej twórczej pracy przez ukazywanie piękna jej owoców — oto zadanie artysty w tej dziedzinie pracy społecznej.

Prócz cywilizacji niech uczy artysta kochać podstawę tych zjawisk — człowieka, który, jak mówi Goethe: „immer stebent sich bemüht". Amoralne bowiem w zasadzie wartości estetyczne przenikają się z wartościami etycznemi. I jedne i drugie ulegają ewolucji. W swoim świecie artysta, jako jedyny prawodawca, zastępuje dobro i zło przez piękno i brzydotę. Nieznośne niejednokrotnie normy etyczne, bo zaprawione pedanterją i filisterstwem, przemalowane i odświeżone w świecie sztuki, oskrobane z brudnego tynku, pociągają pozytywnem pięknem i nie odpychają negatywnym zakazem. Gdydy tablice z dziesięciorgiem przykazań były artystyczniej wykonane, niż to przekazała tradycja, możeby ich paragrafy lepiej były przestrzegane. O ile bowiem estetyka z etyką spotyka się już na progu świadomości, to dobro często jest zimnem pięknem, a piękno prawie zawsze dobrem, tętniącem ciepłą krwią ukochania. Każda rzecz bowiem staje się najczęściej wtedy dopiero piękną, gdy ją pokochamy. Krótko mówiąc, prawdziwy artysta społeczeństwo umoralnia, bo trudnostrawne dobro przetwarza na łatwo przyswajalne piękno przez oczyszczanie przyjemności i upodobań.

Prawdziwy artysta nie może być nigdy słusznie oskarżonym przez moralność o podstępne trucicielstwo. Budzi on bowiem zawsze miłość, zarówno gdy kocha, jak i gdy nienawidzi. Do przedmiotu estetycznego nie zbliża się nigdy z zimnym skalpelem, bo jeśli nie cel, to droga, którą idzie, jest opromieniona blaskiem miłości.

Reasumując powyższe rozważania, możemy powiedzieć, że praca społeczna artysty, o ile jest należycie pojęta, staje się nieocenioną, bo szerzy wśród ogółu miłość do wszelkich wartości twórczych i rozdaje bezcenne skarby estetycznych wzruszeń.

Wzamian za to największe społeczne świadczenie artysta najczęściej otrzymuje romantyczne, pośmiertne uznanie. Uważa się za całkiem naturalne, że wszystko, co on sercem i mózgiem stworzy, należy do społeczeństwa i że społeczeństwo nie troszczy się nawet o minimum egzystencji dla niego.

P. A.

JANUSZ STĘPOWSKI

Jasnowidzący wynalazek

Raz — dwa — trzy — cztery! — powtarzał przed lustrem pułkownik sztabu generalnego, Witold Kalina. Co rano o godzinie szóstej, z opaską na wąsach, komenderował głośno ramionom i nogom, według metody Müllera. Potem zasiadał na dwie godziny do opracowywania planu strategicznego, powierzonego mu w ścisłej tajemnicy. Raz — dwa — trzy — cztery — komenderował papierowym chorągiewkom wbitym w mapę, gniewał się, tarł skronie i pisał w bruljonie, zamykanym szczelnie w skrytce na dnie szuflady biurka. Następnie czytał przy śniadaniu cztery dzienniki najbardziej skrajnych partyj politycznych i z jednakową godnością odkładał je na bok, licząc je także głośno. Tego dnia nie pojechał autem o zwykłej godzinie do ministerjum wojny. Niepokój, który go męczył od szeregu miesięcy, zmusił go po raz pierwszy do wyłamania się z pod obowiązku i zwyczaju. Wreszcie zgodził się z myślą pójścia do dzielnicy robotniczej. Włóczyli się w niej obdarci, wybladli ludzie, w szczelnie pod szyją zapiętem odzieniu. Był zimowy poranek. Stare kobiety o pomarszczonych twarzach, niosły w koszykach zakupiony chleb codzienny do domu. Świecące buty pułkownika skrzypiały równomiernie obok powykręcanych, dziurawych trzewików na zeszroniałym, zmarzniętym bruku. Kilka razy stanął przed banalnie nędzną wystawą sklepową i patrzył z pod zapuszczonych powiek, czy go kto nie śledzi. Raz — dwa — trzy — cztery — liczył według zwyczaju kamienice. Kiedy wchodził na jakieś strome schody, wionęła mu w kamienną twarz woń mydlin i zaduch wilgoci. Skrzywił się, ale tylko przez chwilę, gdyż zaraz odwrócił myśl na aromatyczny zapach prochu. Zapukał do spękanych drzwi na piąterku i bez wezwania z wewnątrz wszedł.

— Władza! — rzekł mocno na progu i oparł się na szabli. Przez drogę wymyślił sobie to powiedzenie dla spotępowania pierwszego wrażenia.

— A tu — człowiek! — usłyszał cichą, spokojną odpowiedź.

Stała przed nim w ośmie poranku, zgięta, niepozorna postać. Zamknął za sobą szczelnie drzwi i usiadł na podanem krześle silny, twardy, jak głaz.

— Pana wynalazek nie zgadza się z naturą człowieka! — rzekł. Dopiero teraz zauważył, że ma do czynienia z kaleką.

— Ludzki mózg jest wieczną kopalnią — odpowiedziała postać. — Jestem jego wiernym górnikiem!

— Tajemnica pana może stać się niebezpieczną dla państwa — rzekł pułkownik i spojrzał badawczo przed siebie. Na pulpitach bieliły się otwarte książki i skrypta. Z przyległego pokoju dochodził jego uszu tępy, metaliczny, równomierny szmer. Przez fałdy zasłony przeciskało się kilka smug żółtego światła i przeszywało panujący tu półmrok.

— Służę światu i bliźnim! — odrzekł skromnie chromy wynalazca.

— Wszak to pan niedawno zapobiegł krachowi pewnej europejskiej waluty na giełdzie zürichskiej! — akcentował pułkownik. — Pan to przestrzegł wtedy o niechybnej katastrofie w fabryce wyrobów azotowych! Pan odkrył zamach stanu w państwie X! Pan, w ciągu tygodnia wskazał na Bałkanie czterdzieści ośm pokładów rudy żelaznej, w miejscach, gdzie się nikomu nie śniło! Pan, znalazł w ruinach zamku Y bezcenne skarby z XVI wieku...

Kaleka dał znak ręką, aby przestał.

— Doniesiono mi o wszystkiem! — ciągnął pułkownik, prężąc twardo-kościste ciało. — Zostanie pan aresztowany! Dlaczego się pan ukrywa? Co zaręczy, że pan nie będzie działać, szkodliwie, wbrew interesom z g ó r y!...?

Chroma postać podniosła się wolno i stanęła przed nim.

— Wiedza!

Pułkownik przerwał.

— Czy wie pan, dlaczego tu przyszedłem? — zapytał nieco stłumionym głosem. Zrobiłem to dla ojczyzny!...

— Nie, dla karjery! — odparł szeptem kaleka.

Pułkownik wzruszył ramionami. Małżeby ten chuderlawiec coś o tem wiedzieć? Patrzył na połamaną postać na krześle z obrzydzeniem. Mimo to postawił wszystko na jednę kartę i wyłuszczył powód wizyty jasno i otwarcie, nie ukrywając jednak przytem pewnej osobistej dumy. Jak zmora nocna, gnębiła go mianowicie ta niepewność, że plan strategiczny, nad którym pracował, mógł się kiedyś później okazać błędnym lub chybionym. Uważał, że nie wkracza w granice zdrady stanu. Przyszedł tylko po krótką, prostą odpowiedź: „tak" — czy „nie"! O, z pewnością nie wierzył w skutek, nie lubił nigdy bajek o wróżbach, ale cóż mu szkodziło spróbować. Nękało go przecież tyle obaw, że zgodził się wreszcie na tę ostateczność. Ach! był naturalnie pewien dyskrecji!... (Bał się bodaj czy nie największej kary — ośmieszenia!) Na wszelki wypadek ściskał w kieszeni rozgrzaną stal browninga.

Długie ramiona odgięły zasłonę. Wszedł do drugiego pokoju. Pułkownik przypomniał sobie, że był nieraz w urzędzie ruchu na stacji kolejowej, gdzie tak samo jak tu, terkotały mosiężne zabawki i wyciągały nieskończone, wąskie języczki papieru. Nie mógł teraz tego wrażenia odróżnić, zwłaszcza, że zawsze z trudem przyzwyczajał instynkt ciekawości do rzeczy zawiłych. Pokój zaległa ciemność.

— Niech pan spocznie i patrzy! — usłyszał nad sobą rozkaz. — Unosimy się myślami w czwarty wymiar. Oto plan pana — —

Na przeciwległym ekraniku ujrzał mgławy ruch obrazu. Papierowe chorągiewki na mapie sztabowej parły naprzód, ale towarzyszyły im punkty translokacji wojsk nieprzyjacielskich. Okrążały się wzajemnie, szukały i ustępywały. Wąż frontu wyginał się, pełzał przez miasta, wsie, rzeki, planty kolejowe, gościńce, przecinał lasy i pola. Pułkownik Kalina z przyjemną łatwością rozpoznawał sytuacje. Ujrzał, jak na dłoni, swój własny plan, polegający na sprytnem zaskoczeniu nieprzyjaciela. Kosztowało to: cofnięcie się lewej flanki o 150 kilometrów, zmylenie przeciwnika i rzucenie z tyłu gross armji, uposażonej w aparaty gazowe. — He — he — zacierał ręce i chrząkał; waliły w nim fale krwi. W pewnym momencie punkty nieprzyjacielskie zaczęły się szybko cofać i uderzać o siebie, jak zmieszane guziki.

— Zwycięstwo! — Zwycięstwo! — krzyczał pułkownik uradowany. — Więc tak! — Tak! — Pomysł, nad którym tyle się napracował, był świetny, ba — genjalny! Zapał go ogarniał. — Zapalić światło! — zawołał i oglądnął się, lecz w mroku nie dostrzegł nikogo.

Snać film się nie skończył. Zobaczył teraz na ekranie gmach ministerjum wojny. Z trotuaru, który tyle razy deptał błyszczącemi butami, podnosiły się okaleczałe, pokrwawione ręce, nagie, skargą rozkołysane. Kałuże ludzkiej posoki ciekły po spracowanych kostkach bruku. Pułkownik próbował tego nie rozumieć. Nagle ujrzał na polowym stole operacyjnym ohydną, skrzywioną twarz, typowo pooraną zaflegmionemi bruzdami po ataku gazowym. Pułkownik drgnął. Był to jego syn. Patrzył na niego kochanemi oczami, chociaż miały rogówki opuchłe i niby orzechy spękane.

— Dość! — krzyknął.

Ale znów ujrzał inny widok. Przez wieś, w chmurach dymu biegła w hełmach piechota. Na gościńcu leżały trupy kobiet, starców i dzieci. Taraszono po nich. Były martwe, tak, jak zabłocone buciska żołnierzy. Zobaczył nagle siebie w rozpiętej generalskiej bluzie. Stał na jakiejś drodze, z kilkoma oficerami, śmiertelnie blady, a nad nim zwisało sine, przeźroczyste, że aż straszne, niebo. Pociski strącały jesienne liście drzew. Wtem zachwiał się i padł. Jakaś głupia kula trafiła go w kręgosłup.

Pułkownik porwał w ręce cudowną puszkę i chciał ją siłą zepchnąć na podłogę. Ani drgnęła.

— Przestać! — krzyczał i walił pięścią w stół. Przeraził się, otaczała go zewsząd noc i cisza głucha.

Film trwał dalej. Ulicą, wzdłuż kamienic, sunął starzec na pałąkowatych, trzęsących się nogach, wspierając się na dwu laskach. Na jego piersiach widniała wyblakła tasiemka krzyża za waleczność. — „Tańczący derwisz!" — odezwał się w nim obcy, charczący głos. Pułkownik poznał — siebie.

Powstał i omackiem skierował się do drugiego pokoju. Nie mógł trafić do drzwi. Plątał się w powietrzu, jak cierpiąca mucha w pajęczynie. Trząsł się, niby trzcina na wietrze, nie mogąc postawić kroku. Zgiął się i jakby zestarzał pod ciężarem śmierci, którą unosił w przetrąconym stosie pacierzowym. Uginał się pod ciężarem prawdy świata i łez ludzkości.

Zimowy ranek dojrzewał na zabielonych pulpitach. Nachylała się nad nimi wykuta w ciszy postać wynalazcy, zatopiona spokojnie w książkach i słońcu. Pułkownik musiał odwrócić się na progu, taka z niej biła moc, silniejsza od jego nieszczęścia. Ogarnął ją z trwogą i naraz zmalał dziecinnie przed jej tajemnicą. Promienna dobroć jaśniała z jej czoła.

— Bóg! — szepnął wybladłemi wargami.

— Tylko mózg człowieka! — usłyszał dziwnie łagodną odpowiedź.

— — — — — — — — — — — — —

Tego dnia Witold Kalina, pułkownik sztabu generalnego, podał się do dymisji.

JERZY BRAUN

Z cyklu: „Pieśni współczesne"

Wielka Brytanja

Chudzi, wzgardliwi panowie w cylindrach [na Piccadilly,
czemużto w waszych ślepiach ten obłęd [trwogi dostrzegłem?
Wczoraj skulony „nie-człowiek" wielkobry- [tańskiej idylli
zrobił okropny „finish", całkiem poprostu, [w łeb cegłą.

Jeszcze w Derby urządzacie wyścigi, jeszcze [żrecie zamorskie owoce,
jeszcze przez gardło Tamizy kolonje karmią [Londyn,
ale ja znam zbyt dobrze wasze niespane noce, gdy was tratują w malignie białe sudańskie [wielbłądy.

Jeszcze na pasażerskich okrętach zasiadacie [w smokingach do stołu
i cedząc wytwornie słowa, zimno połykacie [„lunch".
Nie chcecie wiedzieć o tem, że czarny pa- [lacz z dołu
rycząc napręża mięśnie, do walki, do walki [wręcz.

Handlarze, pijawki z City, palą się wam składy [towarów,
jutro zatoną okręty, wiozące bawełnę i kau- [czuk.
Krach zrobi nożem po gardle dziki negr [z Zanzibaru
i żony wam schwyta na lasso zdrowy, roz- [śmiany „gauchos"*.

Nie róbcie wojny o Szanghaj, nie róbcie [wojny na Boga.
Oddajcie port w Singapoore i czemprędzej [zmykajcie na okręt.
Jak tygrys, pląsa na placach nad Gangesem [pręgowana przestroga
— od krwi zarżniętych Szkotów, pustynie [będą mokre.

Już dziś nie może pomóc anglosaska racja [stanu,
tajne instrukcje, brzmiące: „kolorowych bić [w pysk i strzelać!"
Dziś kolorowi bracia wyruszyli z Hindostanu,
w grzmocie dział, jak sztandar powiewa wielka, [trójbarwna niedziela.

Zamaskowany złodzieju, z Irlandji — zrobiłeś [wiór!
Tyś czarną miłość ojczyzny w czerwonych [salwach nurzał,
Dziś ciebie smagani riksze jakże wiernie [biorą za wzór,
pod drgającem mięsem rozstrzelanych czarnej [krwi kałuża.

Nie ciskaj bomb na Szanghaj, nie ciskaj bomb [na Bombaj,
niech ciemne mrowie w turbanach szturmuje [cytadelę w Kairo.
Kurzawę z funtów szterlingów wzbiła po- [wietrzna trąba.
Mister Chamberlain! Czas na... harakiri.

* Czyt. „gauczo".

Młoda para autorska

Zofja Dąbrowska i Zdzisław Roykiewicz: »Śpiewająca Zorza«. Warszawa, 1923. Rytmy przestrzenne. Warszawa, 1925.

Zapewne w imię słusznej oszczędności postanowiła sobie wyżej wymieniona para poetów wydawać utwory swoje wspólnie, w bliźniaczych książeczkach.

Nie myli się Aleksander Maliszewski w przedmowie do »Rytmów przestrzeni«, stwierdzając, że przestrzeń, jaką przebyła »młoda dwójka autorska« od I-go do II-go tomiku, pozwala na pomyślne horoskopy dalszego rozwoju ich talentów. »Spiewającej Zorzy« brak czegoś, co nazwać można sokiem poezji. Ta suchość i to ubóstwo, napróżno stroją się w kolorowe paciorki efektownych rekwizytów techniki poetyckiej z magazynu »Tuwim et Compagnie«. Mówiąc po prostu — tomik ten jest nieprzekonywujący. »Rytmy przestrzeni« znamionują już za to opanowanie nazbyt rozbujałych gestów i tej właściwej początkującym gadatliwej rozlewności, która przesypuje się przez palce, jak złoty piasek, nie pozostawiając nic w garści. Zwłaszcza u Dąbrowskiej obserwujemy znaczne przesunięcie ku głębi i samodzielnej dojrzałości, choć we wierszach takich, jak »Wrześnice«, lub »Wiosna« wciąż jeszcze przegląda się figlarnie »Tuwim tom IV«. Niektóre wiersze »Rytmów przestrzeni« nabrzmiałe już od dobrych, sycących słów — posiadają »to co najważniejsze« — odpowiedzialność poety za użycie takich, a nie innych słów i metafor. Także i w tym tomie talent Dąbrowskiej wydaje mi się bardziej interesującym (n. p. takie zdanie: »przestrzeń drga, jak rtęć«, »siwe lądy mrokiem owinięte«, »białe słupy zadumy przyklękły«). Gdym czytał wiersz »W więzieniu«, z jego lakonicznemi, zastygłemi zdaniami, przypomniał mi się Pierre Reverdy. Zdzisław Roykiewicz ma w tym zbiorku parę dobrych wierszy; do takich należą »Poeta«, »Dróżnik« i »Płock« — w tym ostatnim świetne zdanie: »rankiem biją jak bomby pełne dumy dzwony«. Eksperyment syntetyzmu w »Burzy« i w »Tajemnicy przystanku tramwajowego« ma zapewne swoje uzasadnienie, ale — przyznaję się szczerze — pożądanego przez autora rezonansu we mnie nie obudził. Do autora ich mam również żal za owe: wsączemy, roztopiemy się zwulkaniemy i t. p. Należy tego unikać w imię czystości języka polskiego. *J. B.*

„Dobranoc!" przeszłości

Z powodu „Zarazy w Grenadzie" J. N. Millera

Nad literaturą naszą ciążyło dotąd jakieś nieszczęsne fatum. Jak ów baśniowy łowca Szczęścia, byliśmy przez szereg wieków skazani na bezustanne doganianie Europy, aby tuż przed metą znaleść na drodze jakąś nieprzezwyciężoną przeszkodę — i rozpoczynać na nowo nieszczęsny wyścig. Po humaniźmie — czasy saskie, po wieku oświecenia — rozbiory Polski — oto etapy Golgoty literatury nowej do w. XIX.

W tym stanie rzeczy nie zmienił wiele, i zmienić nie mógł romantyzm. Jako jedyny w swym rodzaju przykład dostosowania się literatury do warunków istniejących, wziął na siebie »trud trudów« utrzymania spoistości językowej i narodowo-tradycyjnej i dokonał tem wiekopomnego społecznego czynu, jakiemu podobnym żaden inny naród poszczycić się nie może. Nie było to już żmudne maruderstwo w orbicie wpływów Zachodu, ale zadanie specjalne, mocą którego literatura przejmowała na swe barki wszystkie te obowiązki, jakie w normalnym rozwoju społeczeństwa przypadają państwu, począwszy od ochrony narodowych granic, a skończywszy na ćwiczeniu i hartowaniu samowiedzy zgorzkniałych w uciskú współbraci. Jak w organiźmie chorym ustają wszelkie funkcje uboczne, a cała energja czynna zwraca się w kierunku pokonania choroby, tak i w literaturze siłą faktu wyschły łożyska, nawadniające jałowy grunt szerokich zagadnień społecznych, a pozostał tylko jeden prąd ożywczy, trzon i istota narodowego bytu.

Rok 1918 zmienił ten stan do gruntu. Po raz pierwszy od lat 120 daną nam została możność zróżnicowania bytu na szeroki, pełny zakres pól działania. Zadanie literatury, w wielu dziedzinach dotąd niepodzielnie przez nią zajmowanych, skończyło się. Należało bieg jej odwrócić od łożyska uznawanego dotychczas za główne i rozprowadzić wyschniętemi odnogami ku szerokim, pustką stojącym ugorom zagadnień, na których rozwiązanie nie stało dotąd czasu. Przebijała się i toruje sobie coraz intensywniej drogę świadomość, że, aby wkroczyć w grono narodów europejskich na prawach równego wśród równych, nie wystarczy wejść w skład Ligi narodów na lat trzy, sześć, czy jeszcze dłużej, nie wystarczy przezornie ubezpieczyć się politycznemi sojuszami, ale należy też energicznie rozpocząć jaknajszerzej zakrojoną współpracę kulturalną, przedewszystkiem w zaniedbanej dotychczas dziedzinie literatury.

Niestety, do zakresu literackiego rozwoju odnosi się, jak do wszystkich zjawisk ruchowych, tak rzadko brane w rachubę i tak dlatego irytujące prawo bezwładności. Umysły przyzwyczajone do krążenia po utartem kolisku nabytej i wcielonej w siebie stuletniem przyzwyczajaniem ideologji nie mogą się z łatwością nagiąć do nowego porządku i złączonych z nim istotnych wymogów. Nierzadko zmiana poglądów i smaku estetycznego jest równoznaczna ze zmianą pokolenia, przyczem w epoce przejściowej tworzą się dwa, wyraźnie odgraniczone kulturalne uwarstwienia starych i młodych. Im gwałtowniejsza jest rewolucja pojęć, tem porozumienie się wzajemne jest mniej prawdopodobne, a walka zaciętsza i mniej bezstronna.

Wszystkie znamiona tego stanu rzeczy nosi na sobie książka p. Millera.

Mówi w niej p. Miller o pracy, jako zdobywczej podstawie współczesnej estetyki, o twórczości aktywnej, przez którą iść należy do życia a nie do kwietyzmu skromnych, a »własnych« ideowych podwórek, o wszechobejmującym uniwersaliźmie. Pomijając szczegóły jego planu przyszłych literackich »wylądów«, które, jak wszelkie mniej lub więcej udałe prognozy, usprawiedliwić może jedynie przyszłość, zgadzamy się z nim w zupełności. Co więcej, nietylko zgadzamy się, nietylko przyklaskujemy mu, jak się tylekroć czyniło, słuchając tysiąca literackich nowostek i oryginalnostek. Nie! Dla nas zasada, z której wyszedł, jest zupełnie jasna i zrozumiała sama przez się, nam nie trzeba dla jej usprawiedliwienia żmudnych tłumaczeń, ani wytaczania z literackiego arsenału ciężkich armat dowodów z dziedzin twórczości tego, czy owego pisarza. Ależ, bo my należymy już do generacji, której życie duchowe wykwitło i wydało owoce po roku 1918. A tamtym, zaklętym w chocholim tańcu romantyzmu, czyż tłómaczenia i dowody przydadzą się na co?

Oto jedno pytanie, na które czas jeno dać może decydującą odpowiedź.

A drugie: Czy wynika stąd, że powinniśmy potępić i gruzami zapomnienia przysypać »ruiny romantycznych ruin«? Na to odpowiedź się znajdzie, a będzie ją stanowiło kategoryczne: Nie.

Możemy wszak już zdobyć się na mocny, sił swoich świadomy objektywizm. Nie wolno nam zapalać się gorączką dyskusji, w której ekstremowi wyłącznego ubóstwienia przeciwstawia się ekstrem pomniejszania olbrzymów. Od obu nie była wolna niedawna polemika na temat wartości »Pana Tadeusza«. P. Miller wystąpił ze swą (powtórzoną w »Zarazie«) filippiką przeciw temu arcydziełu, w pierwszej mierze, jako pedagog, dbały o kierunek rozwoju psychicznego młodego pokolenia. Jednak w chwilach, gdy z poza pleców profesora wyzierał literat i esteta, nie mógł nie ugiąć czoła przed wartościami artystycznemi utworu, które decydują o jego istotnej, za mało do dziś podkreślanej i analizowanej wartości. Niestety, w ogniu dyskusji gubiła się nieledwie zupełnie, ta tak ważna strona rzeczy i jest wielką zasługą autora, że wyznaczył jej należne miejsce w ostatniej swej książce.

Jakże wreszcie rozprawić się należy z romantycznym hyperindywidualizmem na tle uniwersalistycznych dążeń wieku nowego? Przy drobnej dawce zmysłu historycznego możemy go zrozumieć dość jasno i niedwuznacznie. Trudno o myśl inną, jak samorzutnie i dumnie podniesione hasło odpowiedzialności genjalnej jednostki za miljony — w społeczeństwie, którego część jedna nie podniosła się jeszcze z moralnej prostracji po rozbiorach, a część druga szła dobrowolnie, czy z musu w służbę nowego władcy i pana. Nie wolno nam zapominać, że powiew zbratania w pracy i w dążeniu, bijący żywą strugą ze strof wiecznie aktualnej »Ody do młodości«, zabłądził w skromne zakątki prowincji litewskiej nie skąd inąd, jeno z owych »krańców świata«, gdzie garstka straceńców wykuwała w swych nieugiętych piersiach poezję czynu, której ziszczeniem — powrót »z ziemi włoskiej do Polski«. Natomiast wśród takiego społeczeństwa, jakiego obraz daje nam Mickiewicz w »Balu«, czy w »Salonie warszawskim« III. części »Dziadów«, silna jednostka zepchniętą była z konieczności do smutnej, bo samotnej roli Konradów, Kordjanów, czy Anhellich.

A przecie tej nieszczęsnej gmatwaninie, temu wzajemnie mordującemu się kainostwu (w znaczeniu Ujejskiego), które było nieuchronnym spadkiem politycznego rozdarcia, jeszcze i wiek XX. i wielka wojna nie położyły kresu. Jakżeż tu mówić o uniwersaliźmie w tej czy innej formie, jak długo na polach bitew, od błot mazurskich po Karpaty walczył Polak w austrjackim kitlu z Polakiem w rosyjskim szynelu? A czyż i teraz dzielnicowe zawiści i partyjne niesnaski nie oddalają nas bardziej od tego ideału, aniżeli »kwietystyczno-sielankowy« nastrój »Pana Tadeusza«?

Przyznajmy tedy! Romantyzm wraz ze swym pozornie kwietystycznym, a tak męką czynu przeżartym haszyszem dusz, z którym Wyspiański już walczyć usiłował, wraz ze swem przebóstwieniem jednostki — był w swoim czasie koniecznością, co więcej, koniecznością zbawienną.

My, dziś, nie możemy i nie powinniśmy mu czci odmawiać, zwracając głowę wstecz. Bo gdy o pochodzie naprzód, o naszej drodze mowa, rzec możemy przeszłości tylko — dobranoc!

Dr Juljusz Feldhorn.

Wywiad

Z Franciszkiem Mauriac

— Zapewne wiadomo panu, — opowiada mi p. Mauriac — że pochodzę z południa. Urodziłem się w Bordeaux, w 1885 r., a byłem piątem z kolei dzieckiem. Niestety, nie pamiętam wcale mego ojca, albowiem straciłem go kilka ledwo miesięcy po przyjściu na świat. I oto rodzina moja, znana w całej okolicy ze swych uczuć religijnych, oddała mię na wychowanie do klasztoru. Okoliczność ta miała wpłynąć w sposób dość decydujący na dalsze koleje mego życia, no i mej twórczości literackiej. Rozpoczęła się ona dość wcześnie. W 1909 r. jeden z mych kolegów, przeczytawszy pierwsze me utwory, postanawia — prawie, że na własną rękę, bom bardzo jeszcze wątpił w ich dojrzałość — ogłosić je drukiem. Istotnie ukazały się one w czasopiśmie »Temps Présent« i już w kilka dni po ukazaniu się zwróciły na siebie uwagę Maurycego Barrès, który poświęcił im dłuższy artykuł w »Echo de Paris«. Zresztą dodać muszę, że nie mogę uskarżać się na brak życzliwości i to ze strony wybitnych nawet krytyków i znanych pisarzy. Zachowam na zawsze wspomnienie życzliwości, z jaką już wtedy odnosili się do mnie pisarze tej miary, co Paweł Bourget i Francis Jammes, którym zresztą sama twórczość moja, a zwłaszcza w jej początkach, niezmiernie wiele ma do zawdzięczenia.

— Czy wtedy już nosił się pan z zamiarem poświęcenia się całkowitego literaturze pięknej?

— Nie zupełnie. Myślałem bowiem przedewszystkiem o ukończeniu mych studjów uniwersyteckich.

— Jeżeli się nie mylę, to zajmował się pan filozofją, a zwłaszcza niemiecką?

— Tak jest, istotnie. Muszę dodać, że zwłaszcza Nietzsche wywierał przez pewien czas wielki wpływ na moją umysłowość. Dalsze studja moje zostały jednak przerwane wskutek wojny. Musiałem stanąć w szeregu i po odbyciu pewnej części kampanji, uznany zostałem za niezdolnego do dalszej służby czynnej. Po wojnie ogłosiłem poemat »Adieu à l'Adolescence« i powieści »L'Enfant chargé de chaînes«, »La Robe pretexte«, »La Chair et le Sang«, »Préséances«, »Le Baiserau Lepreux« i »Le Fleuve de feu«. Powieści te nie miały powodzenia. Gustave Bofa umieścił w »Crapouillot« złośliwą recenzję o »Fleuve de feu«, w której powiada, że nie była to rzeka, lecz drobny deszczyk, — pas un fleuve, mais une petite pluie fine... Po napisaniu następnej mej powieści, »Genitrix«, chcąc zrewanżować się wobec mojego krytyka, przesłałem mu egzemplarz z następującą dedykacją: A Gustave Bofa, pour lire sous un parapluie... Ale żarty na bok, powieść »Genitrix« była pierwszą mą książką, która miała powodzenie nietylko literackie, nakład jej bowiem w stosunkowo krótkim czasie doszedł do trzydziestupięciu tysięcy egzemplarzy, a ostatnia ma powieść — »Le Désert de l'Amour« — przyniosła mi właśnie nagrodę Akademji za prozę francuską.

— Naogół uważają pana za pisarza katolickiego. Czy wolno mi zapytać pana o własną jego w tym względzie opinję?

— Wypowiedziałem się już kiedyś na ten temat, a obecnie zaś powtórzę to raz jeszcze. Szczęśliwą jest rzeczą dla powieściopisarza, gdy jest katolikiem, ale stanowi to zaiste niemałe niebezpieczeństwo dla katolika, jeśli jest powieściopisarzem. Co do mnie, to tem różnię się od innych pisarzy »katolickich«, że wprowadzam do powieści całkowicie zmysłowej pierwiastek łaski...

— Czy nie sądzi pan, że koincydencja taka daje się spotkać raczej w literaturze rosyjskiej, a przedewszystkiem u Dostojewskiego?

— Istotnie, nie myli się pan. Dostojewski wywarł na mnie zresztą duży wpływ, Ostatnio ukazał się cały szereg nowych przekładów z rosyjskiego i to bardzo udanych. Zdaje mi się, że dzieje się to przedewszystkiem z tej przyczyny, że młode pokolenie francuskie rozwija się coraz bardziej w duchu międzynarodowym. Powieść francuska w swej tradycyjnej, klasycznej formie nie może już zadowolnić nowej tej generacji, która coraz częściej sięga po obce wartości.

— A jednak powieści pańskie, które cieszą się teraz tak dużem powodzeniem. odznaczają się przedewszystkiem tak zwartą i prawdziwie klasyczną formą?

Pan Mauriac uśmiechnął się.

— Trudno, jestem konserwatystą. Niech się pan temu nie dziwi, pochodzę bowiem z rodziny prawdziwie burżuazyjnej i w powieściach mych nawet opisuję stale to właśnie milieu...

Paryż, w lipcu. *Artur Prędski.*

OBYWATELE!

Nie żałujcie grosza na cele oświatowe T. S. L.

Z teatru

Teatr im. Juljusza Słowackiego.

„Książe Niezłomny" tragedja Calderona de la Barca, w przekładzie Słowackiego — **„Grube ryby"** komedja M. Bałuckiego.

Przywiązujemy dużo nadziei do nowej dyrekcji p. Nowakowskiego. Kraków ma stare uliczki, które podniecają wyobraźnię pięknemi obrazami tradycji. Wzdychamy wciąż prostodusznie do czasów Pawlikowskiego lub Kotarbińskiego. Dla Krakowa teatr jakby się skończył w r. 1912 na emigracji szkółki Solskiego do Warszawy. Odtąd zaczął się uwydatniać prowincjonalny upadek. Ostatnia dyrekcja Trzcińskiego była częściej leniwa niż ambitna. Wysiłki rąk twórczych poczęły krępować różne względy magistrackie, które — oby nigdy nie nazywały się słuszne! Wystawienie »Księcia Niezłomnego« w mieście 54 kościołów miało niewątpliwie intencje szlachetne. Za chwalebną odwagę w dzisiejszych czasach supremacji starzyzny trzeba poczytywać dekoratorowi Bolesławowi Kudewiczowi wprowadzenie innowacji w dekoracjach. W antraktach w palarni kłócono się czy graniastosłupy na kulisach, naświetlane kolorami świateł w poszczególnych scenach, trafiają do przekonania. Reżyserja Sosnowskiego położyła nacisk na aktualizowanie cudownej poezji Słowackiego, nie spróbowano jednak recytacji i stylizowania gestów. Wolałbym aby »Księcia Niezłomnego« »literatyzowano« — we frakach, tragedja daje bowiem przedewszystkiem głębię słowa, nie sceny. Jako szablon sceniczny — nuży. Nie wypróbowano dotąd aktorów i skali ich pożytku. Na wysokości zadania stanął jedynie dyr. Nowakowski w roli Don Fernanda. W przeprowadzeniu jego roli była konsekwencja człowieka i dusza poety. Nie umierał w pięknej patetycznej ekstazie, jak ongiś Osterwa na Wawelu, ale jak święty męczennik bardziej podobny do prawdy, który żegna się z lichem, znękanem ciałem. Dublował Don Fernanda, zdolny artysta deklamator p. Socha. Feniksana Calderona nie jest jednolicie głęboka. Silnie udramatyzowała ją p. Hałacińska, a potem uwydatniła z wdziękiem jej kapryśną duszyczkę p. Barwińska i inteligentna artystka p. Granowska. Efekt pozostałych ról był różny. Czerwony król Fezu pana Komornickiego wyglądał, jak groźny choć poczciwy lajkonik. Biednemu Mulejowi p. Surzyńskiemu, zapewne sam reżyser kazał wiercić oczami, ciskać się i zżymać, gdyż sam nie przyszedłby do tego, że należy maltretować siebie i widzów. Niewątpliwie, w szczęśliwszej roli nie będzie robił ze siebie takiego Muleja. Kraków w swej ubożuchnej prowincjonalności uznał widać, że wystarczy mu »Książe« z Redutą na Wawelu. Teatr świecił golizną krzeseł.

W piątek dnia 17-go września, na pamiątkę przypadającego 45-lecia sztuki, publiczność płakała ze śmiechu na »Grubych rybach« Bałuckiego. Muzeum starych, naiwnych typów, szczerze wzruszyło. Wszyscy czuli się, jak grube ryby w swojej wodzie. Sztuka ta ma uświęcone tradycją role, a przecież wszystko było na właściwem miejscu, jak w staromodnej szkatułce naszych rodziców. Pagatowiczem i Wistowskim był zawsze w naszych myślach Kamiński i Frenkiel. To też trzeba uznać dużą, staranną pracę Żurowskiego, który stworzył kreację chuderlawego urzędniczyny, w kilku scenach naprawdę doskonałą. Było w jego Pagatowiczu coś z karykatur Kostrzewskiego nie tyle w rysunku ile w życiu. P. Komornicki okazał się niezwykłym Wistowskim. Gdyby Frenkiel siedział na widowni, może myślałby, że jest na scenie w całej swej dostojnej otyłości, szarmanterji i utalentowanej grze. Czemu ten Frenkiel urodził się w »Grubych rybach«?... Mielibyśmy p. Komornickiego. Można się sprzeczać czy skopjował go przed lustrem, ale w każdym razie dowodzi to bodaj czy nie pierwszorzędnych zdolności. Dziękujemy panu Komornickiemu. Zdaje nam się, że nigdy nie grał króla Fezu.

Ciaputkiewicz, jest rolą p. Szymborskiego tak »złotą« i miłą, że ten czcigodny weteran sceny krakowskiej mógłby ją śmiało jeszcze raz w tym roku na swój jubileusz 40-letniej pracy aktorskiej, serdecznie kochającej go publiczności, pokazać. Nie należy zapomnieć o nikim: o świetnej Ciaputkiewiczowej p. Kosmowskiej, Filipie p. Wysockim, dziewczątkach: p. Barwińskiej i Kostrzewskiej (bardzo naturalna gra młodej nieznanej dotąd w krakowie artystki), Burczyńskim p. reż. Kułakowskim i Henryku p. Burnatowiczu.

W r. 1882 teatr krakowski (za Koźmiana) osiągnął w »Grubych rybach« ogromne powodzenie, na gościnnych występach w Petersburgu. Większym suksesem będzie utrzymanie tej sztuki przez dłuższy czas na afiszu w 1926 r.

Janusz Stępowski.

Tragedja duszy słowiańskiej

Sergjusz Jesienin: »Pugaczow«. Poemat dram. Przekład Wł. Broniewskiego. 1926.

Próżno skalpel przykładać krytyki
i odmierzać twe rymy i zgłoski,
książko szara!
Jesteś cała krzykiem!
Wiek po wieku od mglistych stepów zaporoskich
do równin gna wiślanych
ogromne, natchnione powstanie,
aż stłumi go krwawa mara!
O książko szara! ty krzyczysz!
Wiek po wieku poemat wzrasta dramatyczny
i mięka łaska wolności go kocha.
Każdy ma swego proroka.
Pugaczow wieczny!
Czy tam będzie car czy caryca,
czy tam będzie sowiet, czrezwyczajka,
czy tam będzie król czy prezydent,
ty, tragedjo słowiańskiej duszy,
ideału powstajesz rozkwitem
i realizm drzesz w strzępy i kruszysz
i po mózgach słodyczą się niesiesz jak bajka.
Pugaczowa ma każda słowiańska epoka —
wiek po wieku poemat wzrasta dramatyczny
i mięka łaska wolności go kocha.
Lecz potem —
Tworogowa ma każda słowiańska epoka...
Tragedje się w zarodzie w węzeł krwawy splotły...

Są jakieś wichry, co łomocą w górach
i są serc naszych, tak dziecinnych, warty...
Tymsamym wichrem kołysze się Ural,
co granitowe w bladych świtach Tatry.
Na dróg rozstajach nazwa Leningradu,
na dróg rozstajach drży nazwa Warszawy —
przed słońca wschodem, kiedy mgły się kładą,
na nich się żarzy jakiś odblask krwawy!
Noce są wielkie w gwiazdach i upalne,
choć jakieś deszcze płód dające spadły...
Tymsamym wichrem ryczy Morze Czarne,
co w chłód północy uwięziony Bałtyk.

O książko szara!
Jakże szerokie są twe marginesy!
Ileż dziś na nich słów napisać można!
Do głębin sięgnąć, by wydobyć szmaragd
i oczom głupiej ukazać go rzeszy...
Po kartach smutnych historji
czas zgubił ostre, poczerniałe noże
i zgubił duszy wybujałe skrzydła!
Każdy z nas ma
wylegendniały, ukwiecony portret,
który kolebką wychowania był dlań
i mu na duszy psalmy tęsknot gra...
Lecz rozewrzyjcie białą klatkę ścian!
Niechaj w ulice wżegluje wasz pokój!
Niech dom wasz będzie dni płonącą żertwą!
Ileż zoczycie natenczas portretów,
iluż proroków!

O szara książko!
Przez ciebie dudni i ciebie unosi
jeden zaledwie rokosz,
wyrwany z kart przeszłości wielkiej, krwawej Rosji.
O szara książko!
ty w nim się rozhuczasz!
I samobójcza płynie twarz Sergjusza
przez twoje karty...

Tymsamym wichrem kołysze się Ural,
co granitowe w bladych świtach Tatry!
Tymsamym wichrem ryczy Morze Czarne,
co w chłód północy uwięziony Bałtyk!
Do twojej treści historją się wdarłem,
legendo klęski proroków umarłych!

Witold Zechenter.

„Grób Nieznanego Żołnierza", tragedja Pawła Raynala.

Dzieło sztuki rzetelne, tragedja mocna, tragedja prawdziwa. Młodość, pełna sił żywotnych, młodość zdobywcza i zwycięska, przed którą stoi otworem życie bujne i pełne możliwości twórczych, pozbawiona należnego jej miejsca, wydarta z podłoża, na którem miała wszelkie warunki dalszego rozkwitu i wdeptana w ohydę rowów strzeleckich, wplątana w sieć drutów kolczastych, dusząca się w dymie trujących gazów.

Młodego, któremu hart ducha i ciała pozwala przetrzymać to wszystko, wojna nie napełnia entuzjazmem, jak to się zdaje tym za frontem, tym starym, którzy wojnę spowodowali, którzy wojny chcą, którzy trzymają się z pełną świadomością systematów, idej i doktryn, hodujących bratobójcze rzezie; tego młodego wojna męczy i nudzi... Jest on jej męczennikiem, najtragiczniejszym, bo pozbawionym aureoli i entuzjazmu męczeństwa; cierpi na zimno, zaciskając zęby.

Gdy przyjechał na parę godzin z frontu, żąda zrozumienia i należnej mu nagrody. Od ojca żąda przywiązania i tkliwości ojcowskiej, od narzeczonej żąda wiernej miłości. Tak. Żąda i ma prawo żądać. Lecz ojciec wyrzuca mu brak entuzjazmu do walki z wrogiem (każą mu być entuzjastą mordu), a narzeczona, chociaż mu się oddała, by odnowić swoją miłość (egoistka), wyznaje mu, że go już nie kocha, bo paromiesięczna rozłąka wystarczyła, aby się wypalił płomień jej uczucia.

Rzucają więc synowie ojcom w twarz straszliwą prawdę, od której powloką się kredą oblicza starców: syn stracił na wojnie wszystko, ojciec na wojnie zarobił; zajął miejsce syna w zarządzie jego majątkiem, zajął miejsce syna przy boku jego narzeczonej, — i boi się chwili, gdy syn na należne mu miejsce powróci. Ale syn nie wróci, bo zginie.

Tu jądro tragedji, tu tragizm najwyższy: dotąd starzy ustępowali młodym, bo taki był porządek rzeczy — i sprawiedliwy był. Nowe, młode siły zastępowały zużyte.

Dziś stało się odwrotnie. Młodych przemocą wydarto życiu i miejsce ich zajmują zużyci starcy. Kto z was nie rozumie złowieszczego tragizmu tej sytuacji?

Gra obu mężczyzn (Nowakowski — syn, Sosnowski — ojciec) stoi na rzadko spotykanej wyżynie. Panią Starską witamy bardzo serdecznie. Niesłychanie trudna rola kobiety w tem trio znalazła zupełnie dobrą odtwórczynię. *Jul. Br.*

KLABUND: NACHDICHTUNGEN VON LI-TAI-PE

Ustawiczni

Wszystkie chmury płyną
Przez morze,
I bujają ptaki
Jak śmiech po ugorze,
Tylko King
Ting
Sterczy w mgle
I karzełek
Li-Tai-Pe

Stoją i nic ich nie zmoże.

Tłum.: *Edward Wyłomowski.*

Zabłąkany w epoce

Feliks Płażek: »Ardea«, tragedja. Kraków, 1925. S. A. Krzyżanowski. Str. 47.

»Ardea« jest dziełem wielkiego talentu. Tragedja ta posiada wartości literackie pierwszorzędne i pierwszorzędne wartości sceniczne.

Język, którym przemawiają bohaterzy Płażka, jest metaliczny, dźwięczny, koturnowy wprawdzie, lecz wysoce piękny. Słowa, chociaż widocznie cyzelowane z zamiłowaniem i świadomością roboty, są szczere i bezpośrednie. Tragedja pisana jest białym wierszem, w którym dźwięczą jakby bezwiedne asonanse środkowe i czasem, bardzo rzadko końcowe. Te walory sprawiają w czytaniu prawdziwą satysfakcję.

A wartości sceniczne idą w parze z wartościami literackiemi. Można wyobrazić sobie, że »Ardea«, wystawiona na wzór tragedyj klasycznych (bo taką jest), zrobiłaby ogromne wrażenie. Czytając ją, widzi się plastycznie osoby, sceny, fragmenty, akcje. Wyobraźnia dodaje dekoracje, proste, surowe, mówiące. Słyszałem o wielkim sukcesie, jakim cieszyła się »Elektra«, poprzednie dzieło autora »Ardei«, przed wojną w Krakowie i obecnie, parę lat temu, we Lwowie. »Ardea« osiągnęłaby tensam sukces.

Nie trzeba zapominać, że »Ardea« jest tragedją klasyczną, że jest zabłąkana w epoce dzisiejszej. Lecz ile razy mam przed sobą dzieło, w epoce zabłąkane, lecz prawdziwego talentu wytwór i mimo wszelkich kierunków odczuwania przemawiające do mnie silnie i wyraziście — tylekroć ogarnia mię zwątpienie, że może to my, my młodzi, jesteśmy zabłąkani w epoce, że może my, ciesząc się współczesnością we współczesności, jesteśmy już od początków tymi, którzy mają umrzeć, chociażby po stuletnim triumfie, umrzeć — i scałować proch z sandałów dalekiej matki, syny wyrodne, z sandałów boskiej Hellady.

W. Z.

Trallalalla, tralala!

Artur Marja Swinarski: »Eja! Eja! Alala!« (Poezje). Rysunki Janusza Marji Brzeskiego. Warszawa — Poznań, 1926. Nakł. Instyt. Wyd. »Arena«. Str. 57.

Nie chciałbym, żeby tytuł mej recenzji z dobrego zbiorku wierszy Swinarskiego był źle zrozumiany. Nie odnosi się on do całego tomiku. Odnosi się tylko do utworów, w których poeta krzyczy: »Eja! Eja! Alala!« Te wiersze są zupełnie słabe, są typowym przykładem trallalallatralalowości poetyckiej. Tam, gdzie się niema nic oryginalnego do powiedzenia, a chce się napisać efektowny wiersz, tam się refrainowo krzyczy: »Eja! Eja! Alala!« W takim n. p. wierszu »Giovinezza« kompromituje się utalentowany poeta powtarzając oklepanki w rodzaju powiedzeń:

„Zbudujmy własny Kapitol i własne Forum,
Zbudujmy z żelaza i mózgu odwieczną odę —
! Jest w skałach tyle niezrodzonych form,
A dłonie i młoty młode!“

i t. d. i t. d. Jest to efektowne, ale jest niczem, jest w najlepszym razie powtarzaniem. Takiem powtarzaniem jest także »Czarny marsz«.I — o dziwo! — powtarzaniem za... Broniewskim! Fakt! Faszystowski wiersz naszpikowany Broniewskim!

„! Idą!
Bębnią w bebechy beczek,
Rytmy ryczą staccata rąk.
Idą — idą
Szeregiem szerokim.
Wal! Wal! W bęben wal —

etc. Tosamo formalnie mamy n. p. w »Ostatniej wojnie« Broniewskiego — tylko pisane bezpośrednio, szczerze, z siłą spiesznej ręki i z odpowiedniem w tym wypadku zastosowaniem do tematu.

Natomiast wartościowe są inne wiersze Swinarskiego. Niezmiernie głębokim jest taki n. p. »Wawel«, gdzie między nienazwaniami przewija się hasło niebiańskiego wybaczenia i pojednania w błogosławieństwach wszechludzkiego zrozumienia:

„Błogosławiony, kto przez jesień szedł
I kochał długo i całował wielu,
I komu grały wierzba, broń i flet —
Przeto ci błogosławię, Gabrjelu“.

„Tyś nago wstał, tyś bez ryngrafu ruszył
Do walki, w której serca pękły dzwonom —
I tobie pękło serce, Eligjuszu,
Przeto po trzykroć bądź błogosławiony“.

Dobry jest brutalny, à la Majakowskij, »Manifest«, piękna jest »Śmierć Eurydyki«, przedzierająca usiłowany chłód klasyczny życiową mocą współczesności, pomysłowa jest i w ładnej podana formie przy równorzędności treści »Balada o rybach (Alain Gerbault)«.

Otrząść się z zawikłań i zaciemnień wpatrzenia się w jeden kierunek i wydobyć ze siebie horyzontalną moc, tężyznę poetycką, współczesność intelektu, stanąć w wichrze świata, a nie w wietrzyku jednego opłotka — to powinno kierować dalszemi krokami utalentowanego poety i wtedy możemy się spodziewać jak najlepszych wyników.

Wkońcu zaznaczę, że dwie rzeczy są w ładnie wydanym tomiku Swinarskiego skandaliczne: 1) rysunki Janusza M. Brzeskiego, 2) interpunkcjonowanie autora. Przecież to jest tylko śmieszny patos dawać wykrzykniki przed linijką wiersza n. p.

„!!! Wczoraj rozdarło kraj zwiastowanie“...

W. Z.

Teatr Popularny w Krakowie

Zainteresowany coraz lepszem powodzeniem nowo zorganizowanego przez byłych artystów teatru im. Słowackiego: Jana Dobiesława, wspólnie z reżyserem A. Piekarskim i T. Pilarskim (sen.) »Teatru Popularnego«, udałem się do dyr. Dobiesława z prośbą o parę słów rozmowy.

— Mimo trudności repertuarowych i technicznych — mówił dyr. Dobiesław — nasz teatr zdobywa sobie przebojem sympatję publiczności, zwiększa z każdym dniem frekwencję, dając z każdą premjerą dowód, że dzięki pracowitości i pomysłowości swych kierowników, a użyteczności i giętkości zespołu aktorskiego, rozwój jego idzie w szybkiem tempie.

— Dotychczasowy dorobek teatru przedstawia się wcale interesująco.

— Tak, w ciągu miesiąca wystawiliśmy stylizowany wodewil: »Podróż po Warszawie«, zabawną farsę »JarmarkMałżeński«, operę narodową »Krakowiacy i Górale«, silny melodramat »Dwie sieroty«, wreszcie melodyjną operetkę »Japonka«.

— Co może p. dyrektor powiedzieć o zespole?

— Przedewszystkiem dyr. A. Piekarski okazuje się jednym z najlepszych reżyserów w Polsce. Jego walory to nietylko mnóstwo pomysłowości w kierunku nowoczesnym, ale i ogrom pracy, co niejednokrotnie przeważa na szali powodzenia sztuki.

Dyr. Pilarski, tyloletni praktyk teatralny, dzieli się swemi cennemi wskazówkami. A cały zespół aktorski, giętki, pełen temperamentu, raz gra w melodramacie, to znowu śpiewa i tańczy w operetce, co nam przypomina użyteczność i wszechstronność dawnych aktorów. Na czoło zespołu wysuwają się: pp. Orszańska, Wąsowicz-Kaczorowska, Topolska, Chełmirska, Osuchowska, Saraczyńska, Billiżanka, pp. Zbucki, Kaczorowski, Relski, Rzewuski i t. d. Pozyskaliśmy świetnego letmistrza w osobie Wł. Morawskiego wraz z partnerką R. Gorecką. Z miejscowych baletnic wybija się na pierwszy plan p. Marta Rella. Orkiestrą związku muzyków dyryguje prof. Irley-Jurkiewicz.

— Znaczy to, że należy spodziewać się jaknajlepszej przyszłości. A jak stoi sprawa repertuarowa?

— Właśnie w »Gazecie Literackiej« kolega pański, p. Marjan Sewi, zarzucił nam bardzo ostro, że wyciągamy »przedpotopowe« sztuki. Lecz chyba wiadomą rzeczą jest, że taki n. p. Piekarski aż pali się do współczesności i przecież nawet w tych starych sztukach wprowadzamy nowoczesne pomysły inscenizacyjne, dekoracyjne i t. d. Wybór sztuk musi być takim, jak dotychczas. Nie trzeba zapominać, że jesteśmy »Teatrem Popularnym« i że skoro Teatr Miejski wystawia cały repertuar współczesny, drugi teatr w Krakowie musi grać co innego.

Pożegnawszy dyrektora, który mimo trudnego położenia dzisiejszych teatrów, okazał się energicznym i zdolnym organizatorem, śledziłem przez chwil parę wytężoną pracę w teatrze. Na piętrze prowadził próbę dyr. Piekarski, na scenie dyr. Pilarski. Równocześnie przygotowują dwie sztuki.

Należy więc sądzić, że praca i inwencja, jaką odznacza się »Teatr Popularny«, pozwoli mu niewątpliwie zebrać jak najlepsze wyniki w ciągu niejednego sezonu teatralnego. *(wz.)*

Teatr popularny

„Japonka“, operetka Benatzky'ego.

Barwna, na tle miłych, popularnych melodyj, operetka »Japonka«, ma zapewnione powodzenie na afiszu ruchliwego Teatru Popularnego. Po pięknie wystawionym melodramacie »Dwie siostry« zespół teatru śpiewa i tańczy w operetce dość giętko i ładnie. Reżyser Pilarski (sen.) wydobył wiele dobrych akcentów całości. Dekoracje, jak zawsze, świeże i pomysłowe. Balet doskonały (szczególniej para Gorecka-Morawski). Ewolucje małej Halusi Motyczyńskiej bardzo efektowne. Stary cynik Zbucki dał znów świetną kreację. Żeby to wszyscy konsulowie byli tacy, jak on! Rzewuski miły, Kaczorowski coraz mniej szarżuje, Relski oryginalny i interesujący. Orszańska sympatyczna i zdolna. *(wz).*

NAJNOWSZE ARCYDZIEŁO
WYTWÓRNI „SFINKS“
W WARSZAWIE
O CZEM
SIĘ NIE MYŚLI
WSPÓŁCZESNY
POLSKI DRAMAT OBYCZAJ.
W 10 AKTACH Z PROLOGIEM.
WYDARZENIA NIEDALEKIEJ PRZYSZŁOŚCI. RZECZ DZIEJE SIĘ W WARSZAWIE, ROSJI SOW. I NA KRESACH.
KINO WANDA

Książki i czasopisma nadesłane

Ostatni numer wrześniowy dwutygodnika **„Przegląd Księgarski“** (Nr 37) przynosi między innemi artykuł pani I. Glinki z Paryża, p. t.: „Działalność księgarska Władysława Mickiewicza“, publikujący wiele szerszej publiczności mało znanych szczegółów z dziedziny księgarskiej pracy ś. p. wielkiego Zmarłego, którego całe życie poświęcone było pracy społecznej i narodowej; artykuł dra J. Piątka p. t.: „Z księgarstwa zagranicznego“, omawiający między innemi sprawy propagandy książki przez szkołę i nauczania oraz fakt zaprzestania przez słuchaczów szkół wyższych nabywania książek, wreszcie ciekawe informacje „Ze świata słowa drukowanego“, między innemi o wielkich bibljotekach angielskich, oraz stałe rubryki informacyjne i redakcyjne.

„Prawda“ (Nr 38) zawiera sprawy tygodnia (Walka o społeczeństwo, Skończony rozdział, List Wł. Grabskiego, O programy polityczne); Widmo zatargu o płace; Walka o ceny — dr M. Zawadzka; Samorząd gospodarczy — inż. K. Folkierski; Tajemnica złego i drogiego papierosa — W. E. Zieliński; Jeszcze w sprawie łaciny — Zygm. Straszewicz; Nowy patrjotyzm — J. Stycz; i in.

Księga Pamiątkowa — Jubileusz 60-cio-lecia Tow. Wzajemnej pomocy U. U. J. pod redakcją Jul. Szweda, nakładem Tow. Wzaj. Pomocy w Krakowie str. 90.

Księga ta zawiera: Szkic historyczny założenia i rozwoju Tow. Wzaj Pom. U. U. J. — Jul. Szwed; Okres reformy i sanacji w Tow. — prof. dr Jul. Nowak; Z dawnych wspomnień — prof. dr. J. Michalski; Ze wspomnień kuratorskich — prof. dr R. Dyboski; Reorganizacja T-wa po wojnie — Eust. Szubert; Budowa II domu akad. T-wa — prof. inż. W. Krzyżanowski; T-wo Wzaj. Pom. U. U. J. w życiu akademika — Wł. Bukowiński; T-wo w dobie obecnej — B. Skrzyński; Ustrój T-wa — Ed. Wojewodzic; Poczet kuratorów i prezesów T-wa od r. 1866 – 1926; Władze T-wa w roku jubileuszowym.

„Kinoteatr“. Ukazał się 1 numer tygodniowego przeglądu filmowego i teatralnego p. n. „Kinoteatr“. Zawiera między innemi artykuły: Wiktor Popławski: Nihil novi. Widz: A co dla nich? Henad: U reżysera „Czerwonego błazna“. Józef Kajot: Melpomena przy jazzbandzie i wiele innych. Redakcja ogłasza 2 premje po 2 bilety do jednego z pierwszorzędnych teatrów i jednego z kin na cały sezon 1926/27. Cena numeru tylko 15 gr.

„Mestwin“, dwutygodnik naukowo-literacki, wychodzący w Toruniu Nr 14 zawiera artykuły Stan. Dąbrowskiego, Dra K. Miaskowskiego i Dra Jana Karnowskiego, nowelę i wiersz Witolda Zechentera, oraz c. d. poematu L. Heykego „Wojewoda“. — Nr 15 zawiera artykuły Stan. Dąbrowskiego, Dra J. Karnowskiego, T. Pietrzykowskiego i Witolda Zechentera oraz c. d. poematu L. Heykego „Wojewoda“.

Nr VIII „Morza“ zawiera artykuły: Kultura artystyczna polska w Gdańsku — Antoni Urbański; Dążenie Niemiec do stworzenia silnej floty wojennej (b. ciekawy art. statystyczny) — Józef Boreyko; Święto czynu twórczego — A. Rylke; Polska policja morska — Rad. Krajewski; Opowieść o wyprawie podbiegunowej Mac Millana; Z podróży „Witezia“ do Szwecji — Z. Grabowski; bardzo obfitą i interesującą kronikę, oraz tabelę ruchu portowego Gdyni i Gdańska.

Kronika

— **Wieczór autorski Tytusa Czyżewskiego,** który odbył się w Koll. Wykł. Nauk. w Krakowie w połowie ubiegłego miesiąca, ściągnął wcale liczną rzeszę słuchaczy. Czyżewski w swem słowie wstępnem (»Zębate koło poezji«) opisał treściwie historję przewartościowywania się wartości i w myśl swych zasad poetyckich, które uległy zresztą również zmianom od czasów zagorzałego futuryzmu, ujął budowę swych idej. W recytacjach art. dram. Billiżanki i Holzerówny usłyszeliśmy dawne i nowsze poezje Czyżewskiego, niektóre silne i głębokie, inne efektownie eksperymentalne, oraz fragment oryginalnej powieści.

— **O Bałuckim** miał dyr. Nowakowski w Koll. Wykł. Nauk. w Krakowie odczyt, starannie opracowany własną metodą krytyczną i przejrzyście wygłoszony.

— **O akademję literatury polskiej** walczy energicznie Z. Dębicki na łamach »Kurjera Warszawskiego«.

— **Jan Pietrzycki** mówił w Padwie i Bolonji o romantyźmie polskim.

— **„Sonety Krymskie“** przełożył znakomicie na włoskie Enrico Damiani, redaktor »Rivista di Cultura«. Damiani przetłumaczył już wiele z Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego i Kasprowicza.

— **Rzymska radjostacja** nadała niedawno w programie swoim włoskie przekłady wierszy Mickiewicza (»Do Matki Polki«), Słowackiego (liryki) i Kasprowicza (»Anima lacrimans« i »Św. Franciszek z Assyżu«).

— **Na miłość boską** nie ośmieszajcie się! Warszawski Komitet L. O. P. P. przystępuje do opracowania filmu propagandowego! Zamało już dwu filmów, które przeszły bez echa razem z pilotem—Węgrzynem i innemi potwornościami, szczególniej rodzaju żeńskiego? Czy nie szkoda pieniędzy? Czy nie lepiej skupić wszystkie wysiłki i stworzyć wreszcie jakiś film polski pierwszorzędny? A »Sfinks« kręci — żeby go pokręciło! — »Trędowatą«!!

— **Kamiński** gra we Lwowie gościnnie z niesłychanem powodzeniem.

— **Pojawiły się** pogłoski w prasie amerykańskiej, że Valentino był Polakiem. Prawdziwe jego nazwisko miało brzmieć Łojek. Cieszmy się! A co pan na to, p. Witosie?

— **Kasprowicz** umarł, więc piszą o nim i »Nouvelles Literaires« i »Vita Italiana« i »Poslednija Nowosti« i wiele innych pism zagranicznych.

— **Rocznice wrześniowe.** We wrześniu b. r. upływa 25 lat od śmierci Bałuckiego, 45 lat od premjery »Grubych ryb«, 25 lat od śmierci Sewera i 50 lat od śmierci Fredry.

— **Angielski tłumacz „Chłopów“**, F. L. Schoell, pisze obszernie o Reymoncie w sprawozdaniu dorocznem uniwersytetu w Berkely.

— **W „Kurjerze Wileńskim“** (Nr z dnia 19 września b. r.) wystąpił p. Tadeusz Łopalewski z ciekawym projektem utworzenia czasopisma regjonalnego. Notujemy to, aby podkreślić, że są jeszcze w Polsce ludzie, którzy wbrew woli społeczeństwa i mimo trudnych warunków, w jakich znajdują się wszelkie poczynania kulturalne, nie wahają się ruchliwie i uporczywie podejmować w tym kierunku inicjatywy.

— **„Anthologie internationale“,** składająca się z utworów poetów — nie Francuzów, lecz piszących po francusku — ułożona przez J. L. L. d'Artrey'a, ukaże się wkońcu października b. r. Antologja zaopatrzona będzie notatkami biograficznemi poetów umieszczonych w niej. Z Polaków przyjęto do Antologji czterech poetów, m. i. Wacława Wolskiego (wiersz »A la France«); nazwiska pozostałych trzech trzyma autor antologji w tajemnicy. Będzie to dzieło duże i o wielkim nakładzie. Samych egzemplarzy luksusowych, na czerpanym i japońskim papierze, będzie 600.

— **Nowa książka Arnolda Bennett.** »Evening Standard« ogłasza, że w najbliższych dniach rozpocznie druk senzacyjnej powieści Bennett'a »Lord Raingo«. Powieść ta, która ukazuje się bezpośrednio po książce Wells'a »The world of William Clisold« (»Świat Wiljama Clissold«) toczy dyskusję na temat, jak dalece może autor wziąć życie znanego człowieka za temat utworu literackiego. Metody traktowania tego zagadnienia są tak różne u Wells'a i u Bennett'a, jak różny jest ich temperament i ich skala talentu. U Wells'a jedynie charaktery bohaterów można ujrzeć u ludzi żyjących i znanych ogólnie, Bennet natomiast za bohatera powieści wziął żywcem ministra, który sprawował swój urząd w ostatnich latach wojny. Prywatne życie tego ministra wziął za wątek powieści. Nie ulega wątpliwości, że Bennet będzie oskarżony za nadużycie możliwości i swobody literatury. Sławny ten autor, powróciwszy do Londynu, nie udziela żadnych wywiadów ani informacyj. Przyjaciele jednak jego twierdzą, że Bennet nie przekroczył tej granicy, która dzieli przywileje powieściopisarza od obowiązków dyskretnego gentlemana.

— **Rudolf Eucken,** laureat Nobla, klasyczny filozof niemiecki, zmarł w ubiegłym tygodniu.

— **Paul Morand** wydał nową książkę. Są to wrażenia z Dalekiego Wschodu. Tytuł brzmi: »Rien que la terre«.

— **Louis Morpeau,** młody poeta francuski, który tematy do utworów swych czerpał z egzotycznej przyrody swej ojczystej wyspy, Haiti, umarł w bieżącym miesiącu, w trzydziestym pierwszym roku życia.

— **Clara Goll** wydała dwie satyry o wnikliwej treści psychologicznej pod ciekawym tytułem: »Le journal d'un cheval« (Pamiętnik konia).

— **„Cudowna podróż św. Brandana w poszukiwaniu raju“,** legenda łacińska z IX. w. została przełożona na język francuski i opracowana przez Pawła Truffau (wyd. L'artisan du livre).

Z nowych książek

Stefanja Tatarówna: »O miłości mistrza Twardowskiego«. Historja smutna i inne nowele. Bibljoteka Domu Polskiego, 1926, str. 152.

Ta miła, tchnieniem zamyślonego liryzmu owiana książeczka, świadczy o nader szlachetnem ustosunkowaniu się jej autorki do nurtujących jej duszę zagadnień. Ta prostolinijność i szczerość usprawiedliwia i osłania od szorstkich cięć krytycznego skalpela niektóre usterki i braki formalne jej utworów. Bezsprzecznie mało jest zapewne w tej książce momentów uderzających koniecznością artystyczną takiej a nie innej koncepcji twórczej. Zanadto tkwi ona w konwencjonalizmie pisarskim i operuje zbyt zużytemi środkami artystycznemi, aby mogła pretendować do godności »dzieła«. Jest ona tylko »książką«, interesującym tomikiem nowel i to t. zw. nowel kobiecych, czego nie należy źle rozumieć. Gdyby nie te zalety, o których wspomniałem powyżej, obszedłbym się z formą i konstrukcją tych nowel, a przedewszystkiem z ich stylem mniej wyrozumiale. Mam jednak słabość do ludzi myślących i... do morza. Stefanja Tatarówna jest naturą głęboko refleksyjną i zastanawia się nad rzeczami, które każdego człowieka obchodzić będą. A przytem kocha morze i pisze o morzu — a to chwyta nas za serce i budzi uczucie szczerej sympatji dla jej utworów. *s. w.*

Ostatnie głosy prasy o Gazecie Literackiej

Kurjer Wileński z dnia 9 września 1926 r.: P. Tadeusz Łopalewski w obszernym artykule p. t.: »Nowy pozytywizm« (Na marginesie »Gazety Literackiej«) w nader trafny sposób sonduje współczesność i jej literaturę, charakteryzując ideowe oblicze» Gazety Literackiej« i nazywając reprezentowany przez nią kierunek »nowym pozytywizmem«, w przeciwieństwie do pojawiającego się równocześnie w literaturze kierunku religijnego mistycyzmu (»nowe średniowiecze«). Pisze on między innemi:

> Wszystkie programowe rozważania, utrzymane w formie gazetowych artykułów wstępnych, drukowanych w każdym numerze, konsekwentnie budują kościec ideowy pisma o rdzeniu wybitnie pozytywnym. Że jednak ideowość pisma nie zasklepia się w tym neopozytywizmie, że ludzie sterujący niem wyczuwają i nurt odmienny, wyżej przez nas zaakcentowany, świadczy n. p. artykuł w 11—12 Nrze „Gazety Literackiej“ p. t.: „Mglisty przybysz“. Jest tu jakby odchylenie ku religijnemu idealizmowi... Na tle naszego ubogiego piśmiennictwa literacko-artystycznego „Gazeta Literacka“ wyodrębnia się swem młodem, rzeźkiem obliczem.

Głos Prawdy, Nr z dnia 15 sierpnia 1926 r.: Prof. Bolesław Pochmarski w pokaźnym rozmiarami artykule p. t.: »Dzisiejszy Kraków Literacki«, po przypomnieniu starszej generacji pisarzy krakowskich, oraz grupy formistów, po scharakteryzowaniu twórczości poetów z pod znaku »Zwrotnicy« pisze, co następuje:

> Od teoretyków i praktyków „Zwrotnicy“, gubiących się w irrealizmie oryginalnych, lecz niepokojących poczynań, znacznie korzystniej odbija postawa innego odłamu najmłodszych literatów Krakowa... organem ich jest wydawana od dnia 1 lutego „Gazeta Literacka“. I wśród tego odłamu nie braknie butnej, wyzywającej chwilami nuty, nie brak upajającej wiary we własną, twórczą młodość, wzgardliwie odrzucającą autorytet uznanych powag. Lecz jest tutaj także wyraźna chęć opanowania wewnętrznego i artystycznego niepokoju, jest zdrowy ruch dośrodkowy ku tworzeniu rzeczy pozytywnych i posilnych dla tętna zdrowego życia.

Nowa Reforma z dn. 29 sierpnia b. r. Red. H. Josse w artykule p. t. »Nareszcie«, pisze z entuzjazmem o artykule wstępnym 13-14 Nru »Gaz. Lit.«:

> A więc nareszcie znalazł się ktoś, co wezwał literatów do utworzenia wspólnego frontu — owych literatów, którzy chadzają luzem i wzajemnie spoglądają na siebie teatralnie groźnym zezem... Nareszcie literaci nasi przemówili językiem XX w., językiem, którym literaci francuscy już oddawna mówią... Artykuł ów niechaj sobie przeczytają i literaci i dziennikarze i wszyscy zresztą ludzie, którzy poza afiszami i klepsydrami uznają także inną lekturę.

Wesołe lecz smutne Sól literatury

Henryk Salz: »Sny o człowieku«: Serja pierwsza: »Legenda o szczęściu«, »Sonata zielona«. Serja druga: »O bogach, nimfach, centaurach, złotym pałacu i zamarzniętej szybie«, »Polifonja kolorowa«. Serja trzecia: »Konie Lucyfera«, »Czerwone akordy«. Serja czwarta: »Księga radości«, »Pieśni białych ptaków«.

Nie czujemy się na siłach krytycznie rozpatrywać czterech tomików »Snów o człowieku«, poprostu bojąc się, żeby nam się nie zaczęły śnić sny o p. Henryku Salzu. Dziki konglomeret zielonej legendy o szczęściu, polifonji o bogach, centaurach i zamarzniętej szybie, czerwonych koni Lucyfera i pieśni białych ptaków, mógłby podziałać wprost zabójczo — a my przecież chcemy żyć!

Poprzestaniemy więc na zacytowaniu wybranych fragmentów z utworów p. Salza i ograniczymy się tylko do dawania tytułów każdemu wybranemu fragmentowi. Aby zaś oszczędzić miejsca, wiersze kolorowego p. Salza pisać będziemy w jednym ciągu, linijki oznaczając pauzami.

Trywjalny uwodziciel: »Łowca złud krótkotrwałych, — przystawam (?!) i badam, — szukam pod maską (?), wołam — cię tęsknoty krzykiem — — Tysiąc kobiet przygarnę — w upojeniu dzikiem — i, poznawszy błąd, rzucę — choć nieraz śmierć zadam! (!)«. (T. I, str. 29.)

Obelga dla poetów! Nieprawda! My dajemy więcej!: »Brałem je już garściami (te kobiety — widocznie małe dzieci, niemowlęta brał garściami!! — *przyp. red.)* — jak wonne bukiety — smukłych kwiatów, spragnionych — słońca (?) i uśmiechu (?!): — z rozkoszną trwogą w pieszczot — spalały się grzechu, — biorąc zamiast miłości — tęsknotę (!!!) poety (?)...« (T. I, str. 30.)

Wątpliwe: »Ale ty przyjdziesz! Przyjdziesz — i wytrwasz do końca (?).« (T. I, str. 31.)

Gdzie się p. Salzowi kładzie łaska: »Dreszczem rozkosznym spływa ciepło, — i łaska kładzie się ukojna — na wszystko co w nas (pluralis maiestaticus — *przyp. red.*) zmarło, skrzepło.« (T. I. str. 32.)

Motyl pomylony: »Nie ulękły się świerszczyki. — Skaczą ku nam pól koniki. — Nawet (?) motyl się pomylił: — twarz ci musnął i opylił (o! — *przyp. red.)*« (T. I, str. 44.)

Co mi dasz? czyli *Dadaizm:* »Dasz mi swoich oczu modrość! — Dasz srebrzystą włosów szczodrość! — W ruchach twych jest fal łechtliwość, — dasz mi pieszczot swych szczęśliwość! — Bez łodzi i szczudeł na głębiach wód tańczę! — (ty i ja — ty i ja —) — I słowa swe wplatam w ich pieśni powstańcze (?)! — da-da-da da, hu ha!« (T. I, str. 81.)

Biust w altanie: »Widziałem jak twój nagi biust — rozjaśnia altan mroczny cień.« (T. II, str. 12.)

Historja z Boccaccia: »On, niegdyś pełen — piorunowych błysków, — jak trup tak drętwy — wyszedł z twych uścisków!« (T. II, str. 16.)

Nie jedzcie szklanek!: »Wino szampańskie perli się, — w gardzieli znika — szklanka za szklanką...« (T. II, str. 23.)

Nieporozumienie co do twarzy: »Ty i ja — w pierwszej parze — w świt wskakiwaliśmy — przodem — — za nami promienne twarze — radosnym korowodem.« (T. II, str. 77.)

Biedny Hebbel: »Jakżeś podobne, prawidło, — do gromochronu Franklina! — Wprawdzie ochrania on dom, — ale połyka wraz grom.« (»Przekłady z F. Hebbla« (!!!). T. II, str. 105.)

Kiełki we łbie: »Będzie w twych oczach obojętność — na zamęt dnia i życia zgiełk, — a w sercu wielka będzie smętność — i tajemniczy przeczuć kiełk (?!?)...« (T. IV, str. 29.)

Zabawa w zielone w głowie: »Idę przez łąki — zbijam bąki.« (T. IV, str. 49.)

Na zakończenie nie mogę się powstrzymać, żeby nie napisać przynajmniej jednej zwrotki w rytmie p. Salza: »Kochany panie Salzu! — nie zjadaj nas po kawalcu! — Czemu nas tak strasznie jisz? — Błagamy: nie bądź zwirz — i wierszy więcej nie pisz!«

(wz.)

JEŚLI CHCESZ
co tydzień mieć
bezstronne a wyczerpujące informacje
o najważniejszych aktualnych wydarzeniach
politycznych, gospodarczych, społeczn.
czytaj
PRAWDĘ
niezależny tygodnik
jedyny w Polsce bezpartyjny
organ informacyjny
-- dla inteligencji --
Dziś jeszcze żądaj numeru okazowego
REDAKCJA:
ŁÓDŹ, PIOTRKOWSKA 85
ODDZIAŁY: Warszawa — Wilcza 16
Poznań — Skarbowa 7

Ogłoszenia: za wiersz 1 mm szerokości 1 szpalty na ostatniej stronie 25 groszy, na innych 50% drożej.

Redaktor naczelny i wydawca: JERZY BRAUN. — Redaktor odpowiedzialny: WITOLD ZECHENTER. Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie pod zarządem Stanisława Ziemiańskiego.